

JESIEN

KARL OVE KNAUSGÅRD
z obrazami Vanessy Baird



JESIEŃ

KARL OVE KNAUSGÅRD
z obrazami Vanessy Baird

Z norweskiego przełożyła
Milena Skoczko

Spis treści

Karta redakcyjna *Listy do nienarodzonej córki* / 28 sierpnia **WRZESIEŃ** Jabłka
Osy Worki foliowe Słońce Zęby Morświny Benzyna Żaby Kościoły Siku Ramy
Zmierzch Pszczelarstwo Krew Pioruny Guma do żucia Tynk Żmije Usta
Dagerotypia *Listy do nienarodzonej córki* / 29 września **PAŹDZIERNIK**
Gorączka Kalosze Meduzy Wojna Wargi sromowe Łóżka Palce Liście Butelki
Ściernisko Borsuki Niemowlęta Samochody Samotność Doświadczenie Wszy Van
Gogh Wędrowniki ptaków Tankowce Ziemia *Listy do nienarodzonej córki* / 22
października **LISTOPAD** Puszki Twarze Ból Świt Telefony Flaubert Wymiociny
Muchy Przebaczenie Guziki Termosy Wierzba Muszle klozetowe Karetki
pogotowia August Sander Kominy Ptak drapieżny Cisza Perkusja Oczy Przypisy

Tytuł oryginału: OM HØSTEN Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK
Redakcja: JOANNA ZABOROWSKA Korekta: KAMIL BOGUSIEWICZ
Opracowanie okładki na podstawie oryginału: MAREK
PAWŁOWSKI Copyright © 2015, Karl Ove Knausgård

All rights reserved

Copyright © for illustrations and cover design by Vanessa Baird

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie,
2016 Wydanie pierwsze ISBN 978-83-08-05884-8 Wydawnictwo Literackie
Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl Konwersja: eLitera s.c.



. Listy do nienarodzonej córki

28 SIERPANIA. Gdy to piszę, nie wiesz nic. Nie wiesz, co Cię czeka ani jaki jest ten świat, na który przyjdiesz. A ja nie wiem niczego o Tobie. Widziałem zdjęcie USG i położyłem dłoń na brzuchu, w którym mieszkasz – to wszystko. Do Twoich narodzin zostało sześć miesięcy, przez ten czas wiele może się jeszcze wydarzyć, ale wierzę, że życie jest mocne i niezłomne, wierzę, że wszystko będzie dobrze, że urodzisz się zdrowa i silna. Jak mówią: ujrzysz światło dzienne. Gdy Twoja najstarsza siostra, Vanja, przyszła na świat, była noc, ciemności wypełnione wirującymi płatkami śniegu. Tuż przed jej narodzeniem jedna z położnych pociągnęła mnie za rękę i powiedziała: „Ty ją złapiesz”, i tak zrobiłem, małe dziecko wylądowało w moich dłoniach, gładkie i śliskie jak foka. Byłem tak szczęśliwy, że aż się rozplakałem. Gdy półtora roku później urodziła się Heidi, była jesień, pochmurna, zimna i wilgotna, jak to bywa w październiku. Przyszła na świat przed południem, poród następował szybko, a gdy ukazała się główka, Heidi poruszyła wargami i wydała cichy dźwięk – to była niezwykle radosna chwila. John, bo tak nazywa się Twój starszy brat, wy dostał się w kaskadzie wody i krwi; pokój nie miał okien i przypominał bunkier, i gdy wyszedłem potem na spacer,

żeby zadzwonić do waszych dziadków, zdziwiło mnie to, że na dworze jest tak jasno i że życie toczy się tak, jakby nie wydarzyło się nic szczególnego. Był piętnasty sierpnia 2007 roku, piąta albo szósta po południu, w Malmö, dokąd przeprowadziliśmy się poprzedniego lata. Wieczorem pojechaliśmy do hotelu dla pacjentów, a dzień później przywiozłem Twoje siostry, którym mnóstwo radości sprawiało kładzenie zielonej gumowej jaszczurki na głowie brata. Miały wtedy trzy i pół i niecałe dwa lata. Zrobiłem im zdjęcia podczas zabawy, kiedyś Ci je pokażę.

W ten sposób ujrzeli światło dzienne. Teraz są już duzi, oswoili się ze światem; najdziwniejsze jest to, że bardzo się od siebie różnią, są odrębnymi, indywidualnymi i autonomicznymi istotami – zawsze tacy byli, od chwili narodzin. Zakładam, że z Tobą będzie podobnie, że już jesteś taka, jaka będziesz.

Troje rodzeństwa, mama, tata – to my. Twoja rodzina. Wspominam o tym na samym początku, ponieważ to jest najważniejsze. To, czy jest dobrze, czy źle, ciepło czy zimno, nieprzyjemnie czy miło, nie ma żadnego znaczenia; najważniejsze są relacje między ludźmi na całym świecie, bo to właśnie one ukształtują Twoje poglądy na niemal każdy temat, bezpośrednio lub pośrednio, zarówno w przeciwnościach losu, jak i w okresach pomyślności.

Właśnie teraz, w tym czasie, dobrze nam się żyje. Gdy dzieci były dzisiaj w szkole, pojechałem z Twoją mamą do Limhamn, siedzieliśmy w kawiarni, w ciepłe późnego lata – to był fantastyczny dzień, słońce, błękitne niebo, lekki zapach jesieni w powietrzu, wszystkie kolory wydawały się głębokie, a jednocześnie przejrzyste – i rozmawialiśmy o tym, jak będziesz miała na imię. Zaproponowałem Anne, jeśli jesteś dziewczynką, a Linda powiedziała, że bardzo lubi to imię, że ma ono w sobie coś lekkiego i jasnego, bo wydaje nam się, że właśnie taka jesteś. Jeśli jesteś chłopcem, postanowiliśmy dać ci na imię Eirik. Wtedy będziesz miała ten sam dźwięk w imieniu co Twoje rodzeństwo, „j” – bo jeśli wymówisz je na głos, wszystkie trzy je mają: Vanja, Heidi i John.

Teraz śpią, wszyscy czworo, a ja siedzę w swojej pracowni – właściwie to jest mały domek z dwoma pokojami i strychem – i patrzę przez trawnik na dom, w którym śpią, na ciemne okna, które byłyby niewidoczne, gdyby nie latarnie po drugiej stronie ulicy, rzucające na kuchnię słabą poświatę. Nasz dom składa się właściwie z trzech budynków, które leżą jeden za drugim i tworzą całość. Dwa z nich są z pomalowanego na czerwono drewna, trzeci jest murowany i otynkowany na biało. Kiedyś mieszkały tutaj rodziny, które pracowały w jednym z okolicznych wielkich gospodarstw. Między dwoma budynkami znajduje się dom dla gości, który nazywamy letniskowym. Zabudowania tworzą podkowę, wewnątrz której leży ogród rozciągający się na mniej więcej trzydzieści metrów, zakończony białym murem. Rosną tam dwie śliwy: stara, o jednej gałęzi tak długiej i ciężkiej, że muszą ją podtrzymywać dwie kule, i młoda, którą zasadziłem zeszłego lata i która w tym roku po raz pierwszy rodzi owoce. Poza tym mamy gruszę, również

starą i dużo wyższą od domu, i trzy jabłonie. Jedną z nich zastaliśmy w oplakanym stanie, wydawała się sztywna i pozbawiona życia, wiele gałęzi było martwych, ale na początku lata przyciąłem je, czego nigdy wcześniej nie robiłem, i tak mnie to wciągnęło – ciałem i ciałem bez opamiętania – aż w końcu późnym wieczorem zszedłem z drabiny i cofnąłem się kilka kroków, żeby przyjrzeć się swojemu dziełu. Okaleczyłem ją, to było pierwsze, co przyszło mi do głowy. Ale z czasem gałęzie odrosły, pokryły się gęstym listowiem, a teraz uginają się pod ciężarem jabłek. To doświadczenie pracy w ogrodzie nauczyło mnie, że nie ma żadnego powodu, by być ostrożnym lub bać się czegoś: życie jest niezłomne, napływa kaskadami, ślepo i zielono, czasem nas to przeraża, ponieważ my również żyjemy, lecz w okolicznościach do pewnego stopnia kontrolowanych, co sprawia, że boimy się tego, co ślepe, dzikie, chaotyczne, sięgające ku słońcu, ale najczęściej piękne. Piękne w dużo głębszy sposób niż czysto wizualny, bo ziemia pachnie zgnilizną i ciemnością, jest pełna biegających chrząszczy i wijących się w konwulsjach robaków, łodygi kwiatów są soczyste, korony wypełnione po brzegi zapachami, a powietrze, zimne i ostre, ciepłe i wilgotne, prześwietlone promieniami słonecznymi lub przesiąknięte deszczem, otula przywykłą do życia pod dachem skórę kompresem obecności. Za głównym budynkiem biegnie droga, która kończy się sto metrów dalej za nieczynnym już niewielkim terenem półprzemysłowym; budynki o dachach z blachy falistej, powybijane szyby, silniki i osie kół rdzewiejące na dworze, częściowo ukryte w trawie. Po drugiej stronie, za domem, w którym siedzę, stoi duża kamienica z czerwonej cegły, wygląda pięknie, prześwietlając przez zielone listowie.

Czerwień i zieleń.

Tobie nic to nie mówi, ale te dwa kolory znaczą dla mnie bardzo dużo, jest w nich coś, co przyciąga, i myślę, że to jeden z powodów, dla których zostałem pisarzem, bo czuję to przyciąganie bardzo wyraźnie, i rozumiem, że jest ważne, ale nie potrafię wyrazić tego słowami i dlatego nie wiem dokładnie, co to jest. Próbowałem i musiałem skapitulować. Moją kapitulacją są książki, które udało mi się wydać. Może kiedyś je przeczytasz i zrozumiesz, co mam na myśli.

Krew krążąca w żyłach, trawa wyrastająca z ziemi, drzewa, o!, drzewa, które kołyszą się na wietrze.

To, co fantastyczne, a co już niedługo zobaczysz i poznasz, bardzo łatwo zgubić, a można to zrobić na niemal tyle samo sposobów, ilu istnieje ludzi. Właśnie dlatego piszę do Ciebie. Chcę Ci pokazać świat – taki, jaki jest wokół nas, niezmiennie. Dzięki temu sam nie stracę go z oczu.

Co sprawia, że warto żyć?

Żadne dziecko nie stawia sobie tego pytania. Dla dzieci życie jest oczywistością. Życie rozumie się samo przez się: nie ma żadnego znaczenia, czy jest dobre, czy złe. Dzieje się tak dlatego, że dzieci nie widzą świata, nie

przyglądają się światu, nie zastanawiają się nad światem, ale są w nim tak głęboko zanurzone, że stanowią z nim jedność. Dopiero wtedy, gdy tworzy się dystans między tym, kim one są, a tym, czym jest świat, pojawia się pytanie: co sprawia, że warto żyć?

Czy jest to uczucie podobne do tego, które ogarnia nas, gdy naciskamy klamkę i popychamy drzwi, gdy czujemy, jak kołyszą się w zawiasach, zawsze lekko i chętnie, i wchodzimy do nieznanego pokoju?

Tak, drzwi otwierają się jak skrzydło i już samo to sprawia, że warto żyć.

Dla kogoś, kto przeżył wiele lat, drzwi są oczywistością. Dom jest oczywistością, ogród jest oczywistością, niebo i morze są oczywistością, nawet księżyc, który wisi nad dachami domów i świeci w nocy, jest oczywistością. Świat rozumie się sam przez się, ale my nie zwracamy na niego uwagi, a ponieważ nie jesteśmy już w nim zanurzeni ani nie czujemy się jego częścią, niejako znika nam z oczu. Otwieramy drzwi i nic się nie dzieje, po prostu przechodzimy z jednego pokoju do drugiego.

Chcę pokazać Ci nasz świat takim, jaki jest: drzwi, podłogę, kran i zlew, fotel ogrodowy tuż przy murze pod oknem kuchennym, słońce, wodę i drzewa. Będziesz mu się przyglądać po swojemu, będziesz doświadczać go po swojemu, gromadzić własne doświadczenia i wieść własne życie, więc to oczywiste, że przede wszystkim robię to dla siebie: pokazując Ci świat, moja maleńka, przekonuję się, że warto żyć.



WRZESIEŃ

Jabłka

Z jakiegoś powodu owoce w Skandynawii są łatwo dostępne. Ich miąższ otacza jedynie cienka skórka, którą bez problemu da się przegryźć. Dotyczy to zarówno gruszek i jabłek, jak i śliwek. Wystarczy zanurzyć w nich zęby. Natomiast owoce, które rosną na Południu, są często okryte grubą, niejadalną skorupą, tak jak pomarańcze, mandarynki, banany, granaty, mango i marakuje. Jeśli o mnie chodzi, wolę ten drugi rodzaj owoców. Zresztą tą samą zasadą kieruję się we wszystkich innych dziedzinach życia. Po pierwsze dlatego, że jest we mnie silnie zakorzeniona myśl, że na przyjemność trzeba zasłużyć pracą, a po drugie, zawsze fascynowało mnie to, co ukryte i tajemnicze. Odgryźć kawałek skórki u góry pomarańczy i przez krótką sekundę poczuć, jak cierpki smak wypełnia jamę ustną, a potem kciukiem rozrywać łupinę, czasem kawałeczek po kawałeczku, jeśli jest cienka, a innym razem, jeśli jest gruba i słabo połączona z miąższem, usunąć ją w jednym kawałku. Już samo to ma w sobie coś z rytuału. Można to porównać do powolnego przemieszczania się od portyku świątyni do jej wnętrza: zęby przegryzają cienką przezroczystą błonę i sok spływa do ust, wypełniając je słodyczą. Zarówno wysiłek, jak i tajemnica, to znaczy niedostępność, zwiększają wartość przyjemności. Wyjątkiem od tej reguły jest jabłko. Wystarczy wyciągnąć po nie rękę i wbić w nie zęby. Bez wysiłku, bez tajemnicy, czysta przyjemność, przypominające eksplozję uwolnienie ostrego, świeżego, soczystego, a jednocześnie zawsze słodkiego smaku, który mrozi zakończenia nerwowe, a czasem sprawia również, że mięśnie twarzy kurczą się, jakby odległość między człowiekiem a jabłkiem była na tyle duża, że ten miniaturowy szok nigdy nie znika, bez względu na to, jak wiele jabłek zjadło się w życiu.

Gdy byłem całkiem mały, zacząłem jeść całe jabłka, nie tylko miąższ, ale także gniazdo nasienne z pestkami i ogonek. Raczej nie dlatego, że tak bardzo mi smakowało, ani dlatego, że nie chciałem marnować jedzenia, ale dlatego, że jedzenie ogryzka i ogonka stawiało opór rozkoszy. To był rodzaj wysiłku, chociaż w odwrotnej kolejności: najpierw zapłata, potem praca. Nadal nie wyrzucam ogryzków, a gdy widzę, że moje dzieci to robią – czasem wyrzucają pół jabłka – wzbiera we mnie oburzenie, chociaż nie dają tego poznać po sobie, ponieważ chcę, żeby moje dzieci lubiły życie i umiały z niego czerpać garściami. Chcę, żeby czuły, że życie jest proste. I dlatego zmieniłem swoje nastawienie do jabłek, nie jako akt woli, lecz jako wynik tego, że widziałem już to i owo i trochę więcej rozumiem, przynajmniej tak mi się wydaje. Wiem teraz, że nigdy nie chodzi o świat sam w sobie, lecz o sposób, w jaki się do niego odnosimy. Z jednej strony jest to, co tajemnicze – z drugiej to, co widoczne; z jednej strony praca, z drugiej wolność. Zeszłej niedzieli wybraliśmy się na plażę, milę drogi stąd. Był jeden z pierwszych

jesiennych dni, które lato niemal w całości wypełniło swoim ciepłem i spokojem; turyści już dawno wyjechali i plaża była całkiem opustoszała. Zabrałem dzieci na spacer do lasu tuż za wydmami, składa się on głównie z drzew liściastych i bardzo nielicznych sosen o czerwonych pniach. Było ciepło i cicho, słońce wisiało ciężkie od światła na lekko granatowym niebie. Podążaliśmy ścieżką w głąb lasu i nagle stanęliśmy przed jabłonią uginającą się pod ciężarem owoców. Dzieci były równie zdziwione jak ja. W końcu jabłonie rosną w sadach i ogrodach, a nie dziko, w środku lasu. „Możemy je zjeść?“, spytały dzieci. „Jasne, śmiało“, odparłem. Nagle zrozumiałem, czując szczęście i smutek jednocześnie, czym jest wolność.

Osy

Osy mają dwuczłonowe ciało. Tylne ma kształt lekko zaokrąglonego stożka o gładkiej, błyszczącej powierzchni, przednie jest bardziej okrągłe i trzykrotnie mniejsze niż tylne, chociaż to właśnie od niego odchodzą skrzydła, czułki i odnóża. Żółto-czarne ubarwienie, połyskliwa powłoka i kształt zaokrąglonego stożka sprawiają, że odwłok przypomina małą pisanek wielkanocną albo miniaturowe jajko Fabergé. Wystarczy przyjrzeć mu się dokładnie, żeby odkryć ze zdumieniem, jak regularny i piękny jest ten żółto-czarny wzór: czarne wąskie paski przeplatają się z szerszymi żółtymi, na których znajdują się czarne kropki – wszystko to razem przypomina starannie namalowane szlaczki. Twarda powłoka, która na nas nie robi wrażenia, bo wystarczy lekko nacisnąć palcem, żeby pękła i miękkie osie wnętrza wypłynęły na zewnątrz, w świetle błonkoskrzydłych jest jak pancerz. Jej wygląd przywodzi na myśl rycerską zbroję, a gdy osa nadlatuje ze swoimi sześcioma odnóżami, dwiema parami skrzydeł i dwoma czułkami, wygląda jak jeździec w pełnym rynsztunku. Takie myśli przyszły mi do głowy w zeszłym tygodniu. Pogoda była iście letnia, więc postanowiłem skorzystać z okazji i pomalować zachodnią ścianę domu. Wiedziałem, że w szybie wentylacyjnym znajduje się gniazdo os, bo często słyszeliśmy brzęczenie tuż za ścianą, gdy kładliśmy się spać, które ustawało dokładnie w miejscu, gdzie osy wpełzały do gniazda. Zdarzało się również, że owady wlatywały do pokoju, mimo zamkniętych drzwi i okien. Gdy przystawiłem drabinę i z wiaderkiem z farbą i pędzlem w jednej ręce wdrapałem się wystarczająco wysoko, by sięgnąć desek pod kalenicą, w ogóle o nich nie myślałem, bo chociaż mieszkały zaledwie metr od naszego łóżka, nigdy nie zwróciły się przeciwko nam. Wydawało się, że dla nich nie istniejemy albo stanowimy część otaczającego ich tła. Ale tamtego popołudnia wszystko się zmieniło. Ledwie zacząłem malować, usłyszałem, że w szybie wentylacyjnym coś się porusza. Po chwili ze środka wygramoliła się osa, brzęcząc, poderwała się do lotu, wzbiła na wysokość najwyżej dwudziestu metrów, gdzie wyglądała jak mała kropka na bezkresnym błękitnym niebie, po czym ruszyła prosto na mnie. W tym czasie z wentylacji wypęzła kolejna osa, a potem następna i jeszcze jedna. Chwilę później wokół mnie latało pięć os. Próbowałem odgonić je lewą ręką, ostrożnie, żeby nie spaść z drabiny, ale oczywiście nic to nie dało. Nie użądliły mnie, ale ich natrętne ruchy i gniewne brzęczenie wystarczyły, żebym zszedł na dół i zapalił papierosa, zastanawiając się, co robić. W tej całej sytuacji było coś upokarzającego. W porównaniu ze mną osy były tak małe, nie większe niż opuszki moich palców, i do tego znacznie cieńsze. Poszedłem do kuchni po paczkę na muchy i wspiąłem się po drabinie. Ledwo zdążyłem zanurzyć pędzel w gęstej

czerwonej farbie i pociągnąć nim kilka razy, gdy znowu usłyszałem, że mam towarzystwo. Wkrótce pojawiła się pierwsza osa. Wzbiła się w powietrze i zaczęła krążyć wokół mnie. Po chwili przyłączyła się do niej druga. Wymachiwałem packą i kilka razy trafiłem, ale tylko w powietrzu. Efekt był taki, że osy wypadły z kursu, ale z malowania ściany też nic nie wyszło. Dałem za wygraną. Przełałem farbę z wiaderka do większego pojemnika i wyczyściłem pędzel. Kilka godzin później wdrapałem się ostrożnie po drabinie, zakleiliśmy otwór wentylacyjny płócienną taśmą samoprzylepną, zszedłem szybko na dół, zakradłem się po cichu do sypialni i zakleiliśmy otwór również od środka. Gdy tamtego wieczoru położyliśmy się spać, wciąż słychać było brzęczenie. Następnego wieczoru również. Ale w końcu ustało.

Worki foliowe

W związku z tym, że okres rozkładu plastiku jest wyjątkowo długi, ponieważ ilość worków foliowych na świecie jest ogromna i z każdym dniem się powiększa, i ponieważ są tak lekkie, że mogą chwytać wiatr niczym żagiel lub balon, człowiek znajduje je w najbardziej niespodziewanych miejscach. Wczoraj, gdy wróciłem z zakupów i zaparkowałem samochód, zobaczyłem worek foliowy łopoczący na dachu domu. Nie mogłem się uwolnić, ponieważ uchwyt zaczepił się o pnącze, które tam rośnie. A kilka dni wcześniej, gdy zamierzałem zasadzić cztery krzewy porzeczek i kopałem dołek na końcu działki, kilka metrów od ogrodzenia, natknąłem się na warstwę potłuczonych dachówek i resztki worków foliowych. Z nadrukowanych logo wywnioskowałem, że były to strzępy reklamówek. Jak się tam znalazły, nie miałem pojęcia, ale było w tym coś niepokojącego, ponieważ cienka folia, biała i gładka na czarnej poruszonej glebie, z całą pewnością stanowiła obce ciało. Cecha ziemi polegająca na tym, by wchłonąć i przerobić wszystko, co w niej wylądowało, nie dotyczy plastiku, który jest zrobiony tak, że odpycha wszystko od siebie: ziemia zsuwa się po powierzchni folii, nie jest w stanie się do niej przyczepić, wgryźć się w nią. Podobnie woda. Torby foliowej nic nie ruszy, nie podlega żadnym zmianom, nawet tym wywołanym bezlitosnym upływem czasu. Folia czas się nie ima. Gdy ją zobaczyłem, poczułem ukłucie żalu, choć sam nie rozumiałem dlaczego. Może pomyślałem o zanieczyszczeniu środowiska, a może o śmierci, ale równie dobrze mogłem pomyśleć o tym, że teraz nie mogę tam posadzić porzeczek. Prawdopodobnie wszystko to przyszło mi wtedy do głowy. Gdy wbijałem łopatę kawałek dalej, zastanawiałem się, dlaczego prawie wszystkie moje myśli i skojarzenia szły w tym kierunku, dlaczego kończyły się problemami i ciemnością zamiast radością, lekkością i światłem? Jedną z najładniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek widziałem, był worek foliowy pływający w wodzie za pomostem na jednej z wysp na morzu. Dlaczego więc nie miałem takich skojarzeń? Woda była zupełnie przejrzysta, zimna i spokojna, miała delikatny odcień butelkowej zieleni, a worek foliowy znajdował się na głębokości około trzech metrów, rozciągnięty i nieruchomy. Nie przypominał niczego innego poza samym sobą, żadnego stworzenia, meduzy ani balonu, był zwykłym workiem foliowym. Mimo to wpatrywałem się w niego jak urzeczony. To było na Sandøya, najdalej wysuniętej wyspie archipelagu Bulandet położonego na zachód od Vestlandet. Oprócz mnie były tam tylko trzy osoby. Powietrze było lodowate, niebo błękitne, a pomost, na którym stałem, częściowo przysypany śniegiem. Chodziłem tam codziennie, wabiony podwodnym światłem, gdzie znikwały łańcuchy i liny, jego przejrzystością i niedostępnością. Rozgwiazdy, kolonie małż, wodorosty, ale przede wszystkim przestrzeń, w której żyły, morze, które po drugiej

stronie wyspy uderzało o brzeg długimi, ciężkimi falami, a tutaj trwało nieruchomo między ścianami przybrzeżnych skał i murowanymi kejami, nad podłożem z piasku, w basenie portowym, napełniając go swoją przezroczystością. To znaczy woda tak całkiem przezroczysta nie była, zniekształcała odrobinę światło, prawie jak grube szkło, dzięki czemu biały worek foliowy, który przez cały czas tkwił zupełnie nieruchomo między powierzchnią a dnem, mienił się zielonkawo i nie miał tej ostrości, jaką ma biały plastik na lądzie, w świetle dnia, gdy między nim a światłem jest tylko powietrze. W wodzie był lekko zawoalowany i jakby przygaszony.

Dlaczego tak trudno było oderwać wzrok od zatopionego worka foliowego?

Widok nie napełnił mnie radością, nie odszedłem stamtąd szczęśliwy, nie ogarnęło mnie zadowolenie ani błogi spokój, jak to się dzieje po zaspokojeniu głodu lub pragnienia. Ale dobrze było go widzieć, tak jak dobrze jest przeczytać wiersz kończący się obrazem czegoś konkretnego i znaleźć w nim jakieś oparcie, by to, co niewyczerpane, mogło się spokojnie rozwinać. Napęczniały wodą worek foliowy, z uchwytami w górze, tkwił w morzu pewnego lutowego dnia 2002 roku. Tamta chwila nie była początkiem niczego, nie była przebłyskiem intuicji, ale nie była również końcem niczego, i może właśnie o tym myślałem, kopiąc dół dla porzeczek kilka dni temu: że wciąż jestem w środku czegoś i że zawsze tak będzie.

Słońce

Odkąd się urodziłem, słońce towarzyszy mi każdego dnia, a mimo to wciąż nie przyzwyczailem się do jego obecności, może dlatego, że tak bardzo różni się od wszystkiego, co znamy. Niewiele jest zjawisk w naszym świecie, do których nie możemy się zbliżyć, bo gdyby się tak stało, przestalibyśmy istnieć. Nie możemy też wysłać tam sond, satelitów ani promów kosmicznych, one bowiem również przestałyby istnieć. To, że nie możemy nawet patrzeć na słońce gołym okiem, by nie oślepnąć lub nie uszkodzić wzroku, traktujemy czasem jak coś niedorzecznego, ba!, wręcz obraźliwego: tuż nad nami, widoczne dla wszystkich ludzi i zwierząt na całej ziemi, wisi olbrzymie płonące ciało niebieskie, a my nawet nie możemy na nie p a t r z e ć! Ale tak właśnie jest. Wystarczy spoglądać prosto w słońce przez kilka sekund, by siatkówka oka pokryła się małymi, drżącymi, czarnymi plamkami, a gdy dłużej zatrzymujemy na nim wzrok, czerń rozlewa się po wewnętrznej stronie oka niczym tusz na bibule. Nad nami wisi zatem rozżarzona kula, która nie tylko dostarcza nam całe nasze światło i całe nasze ciepło, ale stanowi również początek i przyczynę powstania wszelkiego życia, chociaż jest absolutnie niedostępna i obojętna na los swojego stworzenia. Trudno nie myśleć o tym, czytając o monoteistycznym starotestamentowym Bogu. Jedną z istotnych cech relacji między ludźmi a Bogiem jest to, że ludzie nie mogą patrzeć Bogu prosto w twarz, lecz muszą schylić przed Nim głowę. Widocznymi znakami obecności Boga w Piśmie Świętym są ogień, to on reprezentuje boskość, i słońce, ponieważ ogień i wszystkie pożary na ziemi stanowią jego następstwa. Bóg jest pierwszym poruszycielem, stwierdził święty Tomasz z Akwinu, a współczesny mu Dante Alighieri opisał to, co boskie, jako rzekę światła i zakończył *Boską komedię* błyskiem samego Boga w postaci wiecznie świecącego okręgu. W ten sposób ludzie żyjący pod słońcem, którzy bez religii byli jedynie przypadkowymi stworzeniami, niewolnikami, stali się czymś o ogromnym znaczeniu, a słońce stało się zwykłą gwiazdą. Ale podczas gdy wyobrażenia na temat rzeczywistości wznoszą się i opadają, zapalają i gasną, rzeczywistość pozostaje nieugięta, a jej zasady niezmiennie: na wschodzie zaczyna świtać, ciemność powoli ustępuje, powietrze wypełnia się ptasimi trelami, a słońce przeświecła dolną powłokę chmur, które przybierają kolor od szarego przez różowy do świetliście białego. Niebo, zaledwie kilka minut wcześniej szaroczarne, staje się niebieskie, a pierwsze promienie słońca napełniają ogród światłem. Wstaje dzień. Ludzie idą do swoich zajęć lub z nich wracają, cienie, do południa coraz krótsze, z czasem wydłużają się zgodnie z ruchem Ziemi. Gdy jemy obiad pod jabłonią, powietrze wypełniają dziecięce głosy, brzęczenie sztućców, szelest liści na lekkim wietrze, i nikt nie zwraca uwagi na to, że słońce wiszące nad dachem domu letniskowego nie jest już

ognistożółte, lecz pomarańczowe, i płonie bezgłośnie.

Zęby

Gdy pojawiają się pierwsze zęby, te małe kamyki, które mozolnie przebijają się przez czerwone dziąsła dziecka, i najpierw wyglądają jak kolce, a potem stoją w buzi jak małe białe wieże, nie sposób nie zapytać ze zdziwieniem: skąd się wzięły? Nic, co zjada niemowlę, przede wszystkim mleko, a także trochę rozgniecionych bananów i ziemniaków, nie jest nawet odrobinę podobne do zębów, które, w odróżnieniu od pokarmu, są twarde. A jednak musi być tak, że niektóre substancje zostają wydobyte z miękkiego, płynnego lub półpłynnego pożywienia i przetransportowane do szczęk, gdzie tworzą materiał, z którego są zbudowane zęby. Ale jak to się dzieje? To, że skóra i mięśnie, nerwy i ścięgna powstają i rosną, stanowi równie wielką zagadkę, ale nie budzi aż takiego zaskoczenia. Tkanka jest miękka i żywa, komórki otwierają się na siebie i na świat. Światło, powietrze i woda prześlizgują się przez nie, zarówno u ludzi i zwierząt, jak i u roślin. Ale zęby są zamknięte, odpychają od siebie wszystko i bliżej im do świata minerałów: gór, kamieni, żwiru i piasku. Na czym więc polega różnica między kamieniami utworzonymi przez zastygającą lawę i szlifowanymi przez wiatr i inne zjawiska pogodowe przez miliony lat, lub skałami osadowymi powstającymi w wyniku powolnych procesów sedymentacyjnych, podczas których coś, co zasadniczo jest miękkie, staje się twarde jak diament, a tymi małymi, pokrytymi emalią kamykami, które teraz, gdy to piszę, wyrastają z dziąseł moich dzieci śpiących w ciemności w swoich pokojach? Dla dwojga starszych dzieci wyrastanie i wypadanie zębów stało się rutyną, ale dla najmłodszego wciąż wiąże się z ogromnymi emocjami. Utrata pierwszego zęba to nie lada wydarzenie, drugiego również, może trzeciego, ale potem zainteresowanie i napięcie opadają, bo dochodzi do prawdziwego wysypu mleczków. Zaczynają się ruszać wieczorem, gdy dzieci kładą się spać, więc następnego ranka pytam, skąd się wzięły plamy krwi na poduszce. Albo po południu w salonie, podczas pałaszowania jabłka. Podchodzą wtedy do mnie i bez zbędnych ceregieli wręczają mi ząb, a ja zamykam dłoń wokół niego i idę do kuchni. Co mam z nim zrobić? Stoję przed blatem, kran i zlew błyszczą delikatnie w przygaszonym jesiennym świetle. Mały mleczek, intensywnie biały, ciemnoczerwony od krwi przy korzeniu, odznacza się z niemal nieprzyzwoitą wyrazistością od blad różowej skóry ręki. Chyba nie powinienem go wyrzucać, w końcu ząb jest częścią mojej córki. Ale przecież nie ma sensu go trzymać, bo po co? Żeby na starość wyciągnąć szkatułkę z brzęczącymi małymi ząbkami i wspominać dziecięce lata naszych latorośli? Zęby nie starzeją się w taki sam sposób jak reszta ciała, czas się ich nie ima; ten ząb zawsze będzie należał do dziesięciolatka. Otwieram szafkę pod zlewem i wrzucam mlecza do kosza na śmieci, gdzie ląduje miękko na filtrze do kawy, poszarzałym

od czarnych fusów. Biorę do ręki zwiniętą torebkę po müsli i kładę ją na wierzchu, tak że ząb staje się niewidoczny.

Morświny

Płynęliśmy łodzią po fiordzie. Niebo było szare i ciężkie. Przed nami wznosiła się Lihesten, podłużna, pionowa, wysoka na kilkaset metrów góra, która wyrasta prosto z wód fiordu, ciemna ściana w kolorze łupka majająca we mgle. Miałem wilgotne włosy. Wystarczyło, żebym przejechał palcem po rękawie kurtki przeciwdeszczowej, a natychmiast wzdłuż niego zbierała się strużka wody. Uderzanie i pocieranie wiosła o dulki brzmiało wyjątkowo wyraźnie. Odgłosy, które zwykle opuszczały łódź i znikwały nad otwartą przestrzenią, tym razem były zatrzymywane i owijane w mgłę, która nie pozwalała dotrzeć do nas innym dźwiękom. Gdy dziadek wciągnął wiosła na pokład, zapadła idealna cisza. Woda poruszała się powoli i leniwie, tafla była gładka niemal jak stół. Mój kuzyn i ja wyrzuciliśmy obciążniki, które zniknęły w głębinie pod nami. Po chwili w pobliżu rozległ się świst. Kuzyn podniósł wzrok, ale dziadek nie zareagował. Dźwięk przybrał na sile, a na wodzie pojawiła się drobna fala. Coś nadpływało. Kuzyn wskazał ręką i wtedy dziadek się odwrócił. Zaledwie kilka metrów od nas unosiły się i opadały płetwy grzbietowe stada morskich ssaków.

Coś się we mnie podniosło.

Było ich pięć, może sześć, płynęły zbite w ciasną gromadę, pruły wodę, która robiła się biała za każdym razem, gdy przebijały powierzchnię fiordu. Nigdy nie zapomnę tego świstu. Ani tego widoku. Przemknęły obok nas, wykonując ruchy, które wydały mi się zabawne i jednocześnie pełne skupienia. Nie zapomnę ich gładkiej szarobrazowej skóry, pękatych ciał długości dziecka, błysku tego, co musiało być oczami, a wyglądało jak małe czarne zaokrąglenia nad krótko ściętymi pyskami. I ust, które zdawały się uśmiechać.

Później, gdy ssaki zniknęły nam z oczu, dziadek powiedział, że morświny przynoszą szczęście. Dziadek często mówił takie rzeczy, wierzył w znaki i wróżby, ale chociaż lubiłem tego słuchać, nawet przez chwilę nie myślałem, że to może być prawda. Ale teraz wierzę. Bo skąd wiemy, kto lub co zajmuje się rozdzielaniem szczęścia i nieszczęścia? Czy powstają w człowieku, jak uważa znakomita większość ludzi w naszych racjonalnych czasach? Czy rzeczywiście my sami tworzymy nasze szczęście lub nieszczęście, chociaż można zadać pytanie, co w naszych czasach oznacza „my sami”, jeśli nie zbiór komórek zawierających materiał genetyczny odziedziczony po przodkach, zmodyfikowany doświadczeniem, które są aktywowane i dezaktywowane w niewielkich chemiczno-elektrycznych burzach, dzięki czemu coś konkretnego czujemy, myślimy, mówimy i robimy? A potem zewnętrzne konsekwencje naszych poczynań wywołują kolejną wewnętrzną burzę i następujący po niej ciąg uczuć, myśli, wypowiedzi i działań. Takie myślenie jest absurdalne i mechanistyczne, ale

nie bardziej absurdalne i mechanistyczne niż sprowadzanie morświnów jedynie do ssaków morskich o określonych cechach i trybie życia, ponieważ każdy, kto je spotkał, kto widział, jak wynurzają się nie tylko z głębin, lecz także z czasu, niezmienione od milionów lat, wie, że ich widok coś w człowieku porusza, dotyka, sprawiając, że czuje się wybrańcem losu.

Benzyna

W jesienne deszczowe dni, gdy niebo było ołowiane, świerki rosnące wzdłuż drogi ciemnozielone, asfalt czarny, a wszystkie inne kolory matowiały od wilgoci i przyćmionego światła, plama benzyny na szosie mogła mienić się najbardziej fantastycznymi, niezwykłymi barwami. Tak bardzo różniła się od wszystkiego, co znaliśmy, że równie dobrze mogła pochodzić z innego świata. Wspaniałego świata, jak nam się zdawało, pełnego przygód, tętniącego kolorami i hojnego. Hojnego, ponieważ feeria barw, która pojawiała się i znikwała pozornie przypadkowo, była związana z najbrzydszymi i najdziwaczniejszymi miejscami. Nigdy nie można jej było podziwiać na łąkach czy polach, przybrzeżnych skałach czy plażach, za to często na parkingach, żwirowych i asfaltowych drogach, przystaniach jachtowych i placach budowy. Potrafiła unosić się na żółtoszarej, mętnej od żwirowego kurzu powierzchni stawu, nie łącząc się z wodą ani z żadną inną substancją w swoim otoczeniu. Wystarczyło wetknąć w nią patyk, by powstały nowe kolory – purpurowy, liliowy, królewski błękit – o wzorach pełnych krzywizn i lagun, pięknych jak muszle albo galaktyki. Te ruchome, podobne do mirażu barwne zakrętasz same w sobie były zagadką – i jak obraz zagadki. Tym bardziej że wszyscy wiedzieliśmy, że benzyna jest bezbarwna. Byliśmy świadkami tego, jak przelewa się ją z kanistra przez lejek do czerwonego baku jednej z łodzi przy ruchomym pomoście. Wtedy była zupełnie przezroczysta i sprawiała, że powietrze wokół niej drżało. I wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z jej potężnej mocy. Olbrzymie spycharki gąsienicowe, które oczyszczały miejsca eksplozji z kamieni, wgrzyzając się w nie lemieszami, podnosząc je i wycofując się, by chwilę później z hukiem przerzucić urobek na skrzynię ładunkową stojącej obok wywrotki, były zasilane benzyną. I wywrotka, która po chwili wyjeżdżała z mozołem na drogę, była zasilana benzyną. I ciężarówki z przyczepami, i autobusy, i tankowce, i samoloty. I łodzie wyścigowe, które wyglądały tak, jakby unosiły się nad wodami cieśniny, były napędzane benzyną, i samochody wyścigowe, o których czytaliśmy, ale nigdy ich nie widzieliśmy. Nie mówiąc już o autach naszych rodziców, tych szerokich gablotach, które toczyły się po drogach każdego dnia, motocyklach i motorowerach, którymi jeździła młodzież, pługach śnieżnych, traktorach, koparkach, piłach spalinowych i silnikach zaburtowych. Wszystko, czym byliśmy otoczeni, a co wiązało się z prędkością i mocą, wszystkie ryczące, warczące, stukoczące silniki spalały benzynę. To, że pozyskiwano ją z ropy naftowej, wydobywanej ze złóż głęboko pod ziemią i składającej się z przetworzonego materiału organicznego z czasów, gdy ziemi nie zamieszkiwali ludzie, tylko dinozaury, gigantyczne, lecz proste stworzenia, i gdy rośliny również były większe i mniej skomplikowane, i że ta prehistoryczna siła ukryta w tym, co zoologiczne

i biologiczne, rozwijała się wokół nas, miało sens – pokrewieństwo między buldożerem i dinozaurem było oczywiste dla każdego dziecka, ale nie między mocą i zagadkowym pięknem małych, drżących, barwnych luster stawów, których pełno było w latach siedemdziesiątych.

Żaby

Tego lata zostaliśmy zaproszeni na imprezę z okazji sześćdziesiątych urodzin, którą zorganizowano w lokalu w pobliżu fiordu w Vestlandet, niedaleko morza. Przez cały dzień padał deszcz, aż do późnego wieczora, gdy wracaliśmy do domu. Pobiegliśmy truchtem do samochodu po zabłoconej żwirowej drodze. Włożyłem torby do bagażnika, a dzieci, zmęczone i wynudzone jak mopsy, zapięły pasy w dużym minibusie, który wynająłem na cały tydzień. Ciemny krajobraz tonął w strugach deszczu. Mrok był tego rodzaju, który powstaje wyłącznie w określonych warunkach atmosferycznych, ponieważ letnie noce są tu zazwyczaj jasne, tylko delikatnie spowite ciemnością, nie czarną, lecz niebieskawą i na swój sposób lekką. Mgły i ciężkie chmury, które przez cały dzień wisiały jak przykrywka nad kotliną górską, sprawiły, że mrok zgęstniał, ale nie całkowicie. Nadal nie był czarny, bo przez ciemnoszare wilgotne powietrze byliśmy w stanie dostrzec otaczające nas świerki. One były czarne jak noc.

Uruchomiłem silnik, włączyłem długie światła i wyjechałem na wąską asfaltową drogę prowadzącą w dół, wzdłuż fiordu. Była tak wąska, że gdy z naprzeciwka nadjeżdżał samochód, musiałem hamować, a czasem nawet wycofywać się do najbliższej zatoczki. W niektórych miejscach jedyną ochroną przed stromymi, ostrymi zakrętami były starodawne barierki z wielkich kamieni. Światła reflektorów przedzierały się przez ciemność; mieliśmy wrażenie, że jedziemy niekończącym się tunelem. Droga rozstała się z fiordem i wiodła teraz przez dolinę, pięła się w górę, by opaść po drugiej stronie wzniesienia, a potem przez kilka mil towarzyszyła innemu fiordowi.

Niespodziewanie na drodze pojawiły się małe kamienie. Moja córka, która siedziała nieruchomo obok mnie i wpatrywała się w drogę jak zahipnotyzowana, powiedziała nagle, że kamienie się poruszają. Wtedy ja też to zauważyłem. Kamienie skakały po asfalcie. Ale to wcale nie były kamienie, tylko żaby. I było ich coraz więcej. Zdarzało się, że przed maską skakało trzydzieści, czterdzieści małych płazów. Nie sposób było wyminąć je wszystkie; tam, gdzie się od nich roило, musiałem po nich po prostu przejechać. Trwało to przez kilka dobrych kilometrów. Na drogę wyskakiwały setki żab, jakby właśnie tamtej nocy wszystkie naraz postanowiły opuścić rów, przeskoczyć asfalt i zniknąć po drugiej stronie szosy. Czy sprawił to deszcz? A może to była ich pora roku? Może każdego lata przenosiły się pewnej nocy w inne miejsce? Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiem, pomyślałem, jadąc w strugach deszczu i w ciemności pełną zakrętów drogą nad fiordem. Podobnie jak w przypadku innych płazów było w nich coś pradawnego. Pochodziły z innych czasów niż my, z prostszej świata, w którym również rośliny były bardziej prymitywne, a to, że żaby wciąż tu były,

w przeciwieństwie do innych wymarłych stworzeń żyjących w tamtych czasach, wynikało z faktu, że wyjątkowo dobrze przystosowały się do środowiska i nie poddały negatywnym zmianom, jakie przyniosła cywilizacja. Dla żab świat jest dokładnie taki sam jak wtedy; tysiące lat temu żaby widziały, robiły, myślały i czuły to samo, i ta niezmiennność, w której nie istnieje ani przyszłość, ani przeszłość, nie różni się w zasadzie niczym od tej, którą posiadały młodsze stworzenia, takie jak wiewiórki czy borsuki, poza tym, że niezmiennność stylu życia żab trwa nieskończenie dłużej. Mimo to przeżyłem szok, widząc je z bliska. Kiedyś wybrałem się na wycieczkę do lasu z przedszkolem, do którego chodziły moje córki, i nagle wśród liści znaleźliśmy całą kolonię tych małych skaczących płazów. Jeden z rodziców złapał żabę, żeby pokazać ją dzieciom. Było w niej coś odrażającego. Pomyślałem, że to przez oczy, w których mieści się wszystko, co kojarzy nam się ze złem. Były ciemne i puste i nie prowadziły w głąb żadnej duszy, tak jak na przykład oczy kota. Oczy żaby nie widziały ludzi, lecz coś innego. Co? Tego nigdy się nie dowiemy.

Kościół

Ze wzgórza nad Glemmingebro, gdzie mieszkamy, są widoczne trzy kościoły. Jeden z czerwoną dachówką i wieżą w kolorze miedzi, kościół Glemminge, pochodzący z przełomu wieków, gdy stara świątynia została rozebrana, ponieważ okazała się za mała dla rozrastającej się wsi. I dwa średniowieczne kościoły otynkowane na biało i bez wież: Ingelstorp i Valleberga. Oba wzniesiono w czasach, gdy każda, nawet najmniejsza wioska stanowiła oddzielną parafię z niskimi domami skupionymi wokół kościoła jak kaczęta wokół matki kaczki, otoczonymi ze wszystkich stron przez pola uprawne. I chociaż struktura pozostała niezmienną, nie ma obecnie żadnego znaczenia, poza tym, że świadczy o dawnym sposobie życia i światopoglądzie. Nic już nie jest skupione w jednym miejscu, co symbolizował budynek kościoła, w którym odbywały się chrzty, konfirmacje, śluby i pogrzeby, i gdzie każdej niedzieli zbierali się rytualnie mieszkańcy, pod niezmiennym niebem. Tutejsza ziemia należy do najbardziej żyznych w Europie, klimat również sprzyja – kiedyś było to jednoznaczne z bogactwem, nawet najmniejsza wieś mogła sobie pozwolić na własny kościół. Dzisiaj bogactwo można znaleźć w miastach; na wsi, gdziekolwiek spojrzeć, stoją puste domy na sprzedaż za naprawdę niewielkie pieniądze. Sklepy, biblioteki i szkoły są zamykane. Ziemię wciąż się uprawia, ale na niewielką skalę, i robi to garstka rolników. Właśnie o tym myślę, gdy tędy przejeżdżam: że prawie wszystko, na co patrzę, musiało wyglądać niemal tak samo w dziewiętnastym wieku. Kościoły, wsie, rozległe pola, wielkie drzewa liściaste, niebo i morze. A jednak wszystko się zmieniło. Smutek, którym mnie to napawa, jest nie tylko nieuzasadniony – bo przecież nie mam wspomnień z życia w dziewiętnastym wieku – lecz przyćmiewa również radość z tego, co jest, co mamy, do tego stopnia, że powinno się to diagnozować jako odrębną jednostkę chorobową. Nostalgia, tęsknota za tym, co było, chandra. Analogicznym naturalnym stanem jest tęsknota za tym, co jeszcze nie nastąpiło, za przyszłością, pełną nadziei i siły, nieskażoną poczuciem straty, w której wszystko jest jeszcze możliwe i w której wiele można zyskać. Być może nostalgia jest tak dojmująca dlatego, że w naszych czasach nie ma miejsca na utopię, przez co tęsknoty nie kierujemy już w przyszłość, ale jedynie w przeszłość, w której została zgromadzona cała jej siła. Z tej perspektywy kościoły stanowiły także duchową sztukę inżynierską, ponieważ nie były jedynie wyrazem lokalnej tożsamości, lecz reprezentowały również inny, boski wymiar rzeczywistości, zlokalizowany w samym środku codziennego trudu i znoju, otwarty na przyszłość, na Królestwo Niebieskie, które miało powstać na ziemi. Dziś kościoły stoją puste i nikt już nie szuka boskiego wymiaru rzeczywistości, co oznacza, że przestał być niezbędny. A to może znaczyć, że Królestwo Niebieskie

już nadeszło. Nie ma już za czym tęsknić, poza samą tęsknotą, której symbolem stały się puste kościoły widoczne ze wzgórza nad Glemmingebro.

Siku

Sikanie jest jedną z najbardziej podstawowych czynności, jakie wykonujemy. W chwili, gdy to piszę, przeżyłem około szesnastu i pół tysiąca dni. Jeśli założymy, że każdego dnia sikałem przeciętnie pięć razy, łącznie robiłem siku mniej więcej osiemdziesiąt tysięcy razy. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym zjawiskiem, nigdy nie czułem się z tym dziwnie obco, co się czasem zdarza w stosunku do innych funkcji i zjawisk zachodzących w organizmie, na przykład bicia serca lub procesów myślowych, chociaż sikanie jest dla ciała zupełnie wyjątkową czynnością, łączącą je z otoczeniem, które przez sikanie staje się czymś, co przepływa przez nas. Nie, stoję zwyczajnie przed muszlą klozetową i sikam do wody na dnie klozetu, która powoli zmienia swoją barwę i konsystencję: z jasnej i przezroczystej przechodzi w żółtozielonkawą lub intensywnie ciemnożółtą, w zależności od tego, jak bardzo skoncentrowany jest mocz, i pojawiają się w niej małe bańki i pęcherzyki. Woń unosząca się z muszli jest lekko słonawa, ale ma w sobie też coś innego, ostrzejszego, tym bardziej, im bardziej mocz jest zagęszczony. Dzieje się tak również wtedy, gdy wiele osób sikało w to samo miejsce i sama ciecz wyparowała albo wsiąkała w ziemię. Wtedy powstaje ściana smrodu. Ten smród, tak intensywny i przenikliwy, że nie da się go wytrzymać dłużej niż przez kilka sekund, świadczy o sile mas, bo chociaż siki jednej osoby mają swój udział w tym ostrym zapachu, są zawsze tylko niewielką sugestią, czymś ledwo zauważalnym, w czym można znaleźć przyjemność. Niewielki smród pojedynczych sików ma się tak do potężnego odoru, jak pojedynczy papieros do śmierci: lekko kręci w nosie.

Jednak bez względu na to, jaką rutyną jest dla nas sikanie i jak łatwo nam przychodzi, tego też trzeba się nauczyć. Każdy, kto opiekował się niemowlęciem, wie, co się dzieje, gdy nie kontrolujemy sikania. Dziecko leży na przewijaku i nagle ze szczeliny między nóżkami zaczyna wypływać jasnożółty strumyczek, jeśli to dziewczynka, lub z chłopięcego małego kranika wytryska jasnożółta miniaturowa fontanna, podczas gdy niemowlę wpatruje się beztrosko w sufit, uśmiecha się lub gaworzy, jakby to, co się stało, nie miało z nim nic wspólnego. Zaledwie kilka lat później moczenie się, jak na to mówimy, wywołuje w nich wstyd. Skąd się to zawstydzienie bierze, nie mam pojęcia. Doświadczenie podpowiada mi, że wstyd pojawia się bez względu na to, jak umiejętnie epizody moczenia się są bagatelizowane. Może to nie zdarzenie samo w sobie napawa wstydem, lecz uczucia, jakie mu towarzyszą: że nie jest się ogarniętym, odseparowanym i autonomicznym – jak niewidzialne i niesłyszalne, choć przez to wcale nie mniej silne i absolutne żądanie im stawiane – lecz czymś bezkształtnym, przemakalnym, niekontrolowanym. Ostatni raz zsikałem się zaskakująco późno

i dlatego pamiętam to ze szczegółami. Miałem piętnaście lat i chodziłem do dziewiątej klasy. W ramach zajęć dodatkowych wybraliśmy się w góry na narty. Była późna zima, luty albo marzec. Gdy dotarliśmy do schroniska, ogłosiliśmy konkurs: kto zje najwięcej puszek ananasa. Wygrałem, ale cena była wysoka. Tak się objadłem ananasem i opilem sokiem, że nie mogłem się ruszyć; do tej pory mam problemy z odczuwaniem smaków i zapachów. W końcu położyliśmy się spać, dwanaścioro młodych chłopców i dziewcząt, każde w swoim śpiworze na podłodze na poddaszu. Obudziłem się w środku nocy, czując, że się zsikałem. Majtki i kalesony były całe mokre. Przeraziłem się, gdy zrozumiałem, co się stało. Nie mogłem wyobrazić sobie większej katastrofy. Gdyby to się wydało... Miałem piętnaście lat i byłem zakochany w jednej z dziewcząt, z którymi przyjechałem w góry. Ostrożnie wyczołgałem się ze śpiwora, który również był mokry, na klęczkach otworzyłem plecak i wyjąłem z niego ręcznik i świeże majtki. Była pełnia. Przez okno wpadało intensywne światło księżyca. Wszyscy spali, oddychając ciężko. Wyśliznąłem się po cichu z pokoju i zszedłem na dół. Otworzyłem ostrożnie drzwi i wymknąłem się na dwór. Gwiazdy błyszczały na niebie, pokrywa śnieżna, która rozciągała się we wszystkie strony, mieniła się niesamowicie. Podszedłem do krótszej ściany domu, rozebrałem się, osuszyłem mokre uda i podbrzusze ręcznikiem, włożyłem suche majtki, natarłem obsikane ubranie śniegiem, znalazłem w kuchni worek foliowy, włożyłem do niego rzeczy i wróciłem na górę. Zanim wsunąłem się do śpiwora, położyłem na mokrej plamie wielkości frisbee ręcznik, którym się wytarłem. Gdy zrozumiałem, że nikt mnie nie widział i że nikt nigdy się o tym nie dowie, zniknął palący wstyd, a w jego miejsce pojawiło się intensywne, choć dziwne poczucie szczęścia, bo gdy minął wstyd, mogłem nacieszyć się trochę tym nieokreślonym, a mimo to wyraźnym uczuciem, które towarzyszyło mi we śnie: o matko, jak cudownie było się zsikać!

Ramy

Ramy stanowią krawędzie obrazów i są granicą oddzielającą to, co jest na obrazie, od tego, czego na nim nie ma. Ramy nie są częścią obrazu ani częścią tego, co znajduje się poza obrazem, to znaczy ścian, na których wiszą. Same ramy nie mają sensu, bez obrazu są puste, jak forma niczego. Rama jest blisko spokrewniona z framugą okna i oprawkami okularów, a jej dalszymi krewnymi są: mur, płot, ogrodzenie, granica państwa, kategoria. Rama fizyczna, zwykle drewniana, jest produkowana przez ramiarza – na wymiar lub w fabryce. Ale ram używa się również w znaczeniu przenośnym, jak czegoś, co stawia granice, na przykład w kontekście wyłożenia pieniędzy na projekt budowlany mówimy o ramach finansowych, albo chcemy, żeby rytualna ceremonia odbyła się w bezpiecznych ramach. Innymi słowy, rama ogranicza jakieś zjawisko, tworzy jasne wnętrze i jasne otoczenie zewnętrzne, a dzięki takiej izolacji wnętrze staje się jasno definiowalne, to znaczy staje się czymś samym w sobie. Zyskuje tożsamość. Tożsamość oznacza, że jest się tym, a nie tamtym.

W naturze nie istnieją żadne ramy. Wszystkie rzeczy i zjawiska przenikają się wzajemnie, ziemia jest okrągła, wszechświat nieskończony, a czas wieczny. Co to oznacza, tego nikt nie jest w stanie zrozumieć, ponieważ bycie człowiekiem równa się kategoryzowaniu, klasyfikowaniu, identyfikowaniu, definiowaniu, ograniczaniu i wtłaczaniu w ramy. Dotyczy to naszego własnego życia, które spędzamy w naszych mieszkaniach, starannie oddzielonych od reszty świata dachem, podłogą i ścianami, a na zewnątrz, jeśli mieszkamy w domu, granicami działki. Dotyczy to również naszych jaźni, które wiążemy z ciałem i jego granicami oraz z określonym zestawem myśli, wyobrażeń, pomysłów, osądów i doświadczeń. Dotyczy to także naszej rzeczywistości, którą nazywamy światem i dzielimy na przedmioty i grupy przedmiotów, zjawiska i grupy zjawisk, które rozumiemy na podstawie tego, w jaki sposób różnią się od innych przedmiotów i zjawisk. Ten podział jest ramą tworzącą wnętrze i zewnątrz, sam w sobie nie jest traktowany jako część widzianej lub rozumianej rzeczywistości.

Te ramy, bez których trudno wyobrazić sobie nas samych i otaczający nas świat, istnieją we wszystkich dziedzinach egzystencji, dotyczą nie tylko tego, co jest, lecz także tego, co powinno być, ponieważ sposób, w jaki się zachowujemy, również ma jasne ramy. Z uwagi na to, że życie jest w ciągłym ruchu, w regularnych odstępach czasu powstają rozbieżności między tym, co powinniśmy robić, a tym, co robimy, które objawiają się jako potrzeba wyjścia poza narzucone nam ramy. Jeśli ta potrzeba zostaje zrealizowana, następuje okres, w którym granice przestają obowiązywać, zanim życie stworzy nowe ramy. Tak dzieje się w życiu jednostek – nazywamy to buntem młodzieńczym, i w życiu kulturalnym –

wówczas mamy do czynienia z buntem pokoleniowym, rewolucją lub wojną. Wspólną cechą tych wszystkich ruchów jest tęsknota za autentycznością, to znaczy za miejscem, w którym wyobrażenia o rzeczywistości i rzeczywistość to jedno i to samo. Innymi słowy: za życiem, istnieniem, światem bez ram.



Zmierzch

Gdy to piszę, zapada zmierzch. Nie widać już, jaki kolor ma trawa ani drewniana ściana domu po drugiej stronie, jedynie otynkowany mur odbija nadal odrobinę światła i jest szarobiały. Niebo nad dachami jest jaśniejsze, ponieważ tutaj, na dnie doliny, ciemnieje najszybciej. Jakieś trzydzieści metrów za dachem, wzdłuż drogi biegnącej obok cmentarza, stoi siedem dużych drzew o rozłożystych gałęziach. Każdy, nawet najmniejszy szczegół w tej plątaniu gałęzi jest widoczny na jaśniejszym tle. Gdy znowu kieruję wzrok na trawę, już jej nie widzę: mrok spowija ją niczym małe jezioro. Jednocześnie mam wrażenie, że pokoje w domu się unoszą, żółte światło, które je wypełnia, wylewa się przez okna coraz intensywniej. Dziś wieczorem jest tam sześcioro dzieci, najmniejsze właśnie położyło się spać z butelką mleka w dłoniach i szybko zasnęło. Sześciu- i siedmiolatek siedzą prawdopodobnie na swoich łóżkach i grają na iPadach, komentując głośno to, co robią. Dwoje ośmiolatek, którzy przed chwilą wdrapali się na płot na końcu ogrodu, a stamtąd na drzewo, siedzą teraz, jak przypuszczam, w salonie i oglądają telewizję, a dziesięciolatka, która właśnie wróciła do domu od przyjaciółki, położyła się na łóżku na pierwszym piętrze, by zagrać w *The Sims*. Żadne z nich nie myśli o tym, że światło na dworze gaśnie. Dla nich jest to po prostu kolejny wieczór, jeden z wielu, które tworzą niekończący się szereg wieczorów składających się na ich dzieciństwo. Przez dwa tygodnie będą być może coś z niego pamiętali, na przykład to, że na kolację jedliśmy lasagne, ale potem również ten fakt zniknie z ich pamięci na zawsze. Oczywiście, nie zawsze wiadomo, jaki szczegół utkwi w pamięci. W weekend chodziłem po mieście z ośmiolatką, która nagle zaczęła opowiadać, co pamięta z czasów, gdy, jak się wyraziła, „była mała”. To były przebłyski, detale, o których sama nie wiedziała, skąd pochodzą, czy to było Malmö, czy Sztokholm, Jølster czy jedno z miejsc, gdzie spędzaliśmy wakacje. Balustrada z morzem w tle, mały pociąg, który jechał przez muzeum, ławka w lesie, na której jadła kanapkę. Z domu w Malmö, gdzie mieszkała od pierwszego do piątego roku życia, pamiętała i opisała schody prowadzące do drzwi werandy w sypialni, to, że kiedyś na nich siedziała.

Gdy to pisałem, zjawily się dwie matki i odebrały każda swoje dziecko. Zapadła totalna ciemność: wszystko jest czarne. Jedyne świetliste punkty stanowią pokoje ukryte za oknami, które stąd, z małego domku, w którym siedzę, wyglądają jak akwarium. Pod lampą w jadalni widzę głowę sześciolatka, jest pochylona, domyślam się, że ogląda odcinek jakiegoś serialu telewizyjnego na iPadzie. Ośmiolatka zajrzała właśnie do kuchni, z jej ruchów zgaduję, że zrobiła sobie kanapkę. Niedługo wstanę i pójdę do nich, wyłączę telewizor wśród głośnych protestów, poproszę, żeby umyli zęby, i poczytam im na dobranoc. W końcu zamkną oczy i będą leżeli w ciemności, czekając na sen, na ten most, który zaprowadzi ich do jutra, a ja dokończę tekst o tym, jak tu, w Glemmingebro,

zapadał zmierzch w poniedziałek, piętnastego września 2013 roku.

Pszczelarstwo

Hodowla zwierząt polega po części na tym, by skłonić zwierzęta ku człowiekowi, na przykład poprzez włączenie ich do systemu komunikacji – człowiek cmoka i koń zaczyna biec truchtem, człowiek śpiewa smutne piosenki-wabiki i krowy wracają wieczorem do obory, człowiek woła „siad!” i pies przysiada na tylnych łapach – a częściowo na tym, by skłonić człowieka ku zwierzętom, to znaczy dać im przestrzeń i realizować ich potrzeby. Budować zagrody dla krów, dawać im siano, paszę i wodę, sprzątać obornik, ujeżdżać konie, wychodzić na spacer z psami, głaskać koty. W każdym rodzaju hodowli znajduje się strefa, w której spotykają się ludzie i zwierzęta. W wyjątkowych, nielicznych przypadkach nie dochodzi do takiego spotkania, zbliżenie jest jednostronne, człowiek spotyka zwierzę i realizuje jego potrzeby, natomiast zwierzę nie wychodzi człowiekowi naprzeciw. Pytanie brzmi, czy wówczas nadal mamy do czynienia z hodowlą, czy z czymś innym. Hodowla norki amerykańskiej jest takim przypadkiem granicznym. Norka otrzymuje pokarm, wodę, ciepło, ale jest agresywna i przestraszona, nie daje się oswoić; gdy tylko nadarzy się okazja, ugryzie rękę, która ją karmi, albo ucieknie z klatki do lasu. Norka to bardziej więzień niż zwierzę domowe. Boi się wszystkiego, co związane z człowiekiem. Pszczelarstwo to także przypadek graniczny, ale z innego powodu. Pszczoły nie wiedzą, że człowiek o nie dba, że są przedmiotem jego troski, myśli, planów. Pszczelarstwo polega na tym, aby możliwie najdokładniej odtworzyć środowisko naturalne pszczół, mieć do niego dostęp i kontrolę nad produktem ich pracy, miodem, i nie pozwolić im na ucieczkę. Chociaż słowo „ucieczka” jest niewłaściwe, ponieważ zakłada wolę oddalenia się od pasieki, podczas gdy w przypadku pszczół chodzi o naturalny instynkt rójki, i to do pszczelarza należy, aby ten instynkt zagłuszyć lub poskromić. Komunikacja z pszczołami jest całkowicie jednostronna: pszczelarz się nimi interesuje, stwarza im sztuczny świat, pszczoły zaś interesują się jedynie sobą nawzajem i swoją pszczelą rzeczywistością. Jeśli pszczelarz ma pecha albo brakuje mu umiejętności i w ten czy inny sposób zniszczy iluzję, ogromny rój opuszcza pasiekę i buduje nową społeczność w innym miejscu. Problem pszczelarza polega na tym, że nie może zaproponować pszczołom niczego, czego one same nie mogłyby zdobyć. Pszczoły są samowystarczalne i to, że przebywają akurat w tej, a nie innej pasiece, w ulach tego, a nie innego pszczelarza, nie jest dane raz na zawsze. Gdy pszczelarz wyciąga ramki z miodem, jest traktowany jak każdy inny intruz i musi liczyć się z tym, że zostanie użądłony. Aby ten szczególny rodzaj hodowli zwierząt mógł przebiegać bez zakłóceń, pszczelarze wykształcili wyjątkową wrażliwość i zbliżyli się do pszczelej rzeczywistości tak bardzo, jak to możliwe w przypadku człowieka,

i właśnie to widzimy, gdy ubrani w białe kombinezony i białe kapelusze z siatką chroniącą twarz pracują ostrożnie przy ulach. Te ich obco wyglądające ruchy, powolny, dziwny taniec, ukazują ekstremalną uległość człowieka, a może również to, co w nim najpiękniejsze.

Krew

Wnętrze organizmu, jego organy i miękkie jamy ciała, jest w większości pozbawione kolorów. Niektóre miejsca są prawie całkowicie bezbarwne, jak substancja szara w mózgu, inne mają niewyraźne, rozmyte, niejasne barwy. Skala kolorystyczna jest typowa dla tego, co rośnie w czymś lub pod czymś innym. Wnętrze muszli, robaki w ziemi, wodorosty pod wodą. Wyjątkiem od tej reguły jest krew, która ze swoją świeżą, intensywną, klarowną czerwienią wygląda tak, jakby pochodziła z zewnątrz i miała więcej wspólnego z niebudzącą wątpliwość zielenią trawy i błękitem nieba niż z szarobeżobrazem mrocznych ścian jelit. Gdy byłem mały, wierzyłem, że ciało jest czymś w rodzaju pojemnika na krew, to znaczy, że w ciele znajdują się duże skupiska krwi, może właśnie dlatego, że jej barwa kojarzy się z godnością i dostojeństwem, w przeciwieństwie do kolorystyki reszty ciała, które wydaje się przez to mniej ważne, jakby drugiej kategorii. Prawie tak jak szary kolor kanki na mleko jest mniej ważny i drugiej kategorii w stosunku do bieli mleka, więc z pewnością szary jest sługą białego. Teraz wiem, że krew stanowi stosunkowo niewielki procent całkowitej objętości ciała i że w żadnej jego części nie znajdują się żadne większe kałuże ani kanały, wręcz przeciwnie: krew charakteryzuje się tym, że jest rozproszona w maleńkich kanalikach, które przenikają ciało jak coś w rodzaju tkanki i przez które są transportowane wszystkie substancje pokarmowe i gazy. Tak jak wszystko, co znajduje się w ciele, z wyjątkiem mózgu, krew nie wie, co robi. Znajduje się w ciągłym ruchu, wpychana do tętnic uderzeniami serca, przesącza się przez trzewia dzięki naczyniom włosowatym. Gdy widzimy krew, często powodem jest to, że w świecie zewnętrznym coś poszło nie tak: sierp ześlizgnął się z cebuli i wbił w palec pewnego wrześnieowego wieczoru w dużym i zimnym budynku ze skrzyniami ziemniaków, marchwi i cebuli, i czerwona krew wyciekła, łącząc się w duże krople, które zaczęły kapać na betonową wylewkę. Mała dziewczynka wdrapała się na krzesło, a to upadło oparciem do przodu. Dziecko uderzyło twarzą o podłogę, a jego usta natychmiast wypełniły się krwią. Pewnej parnej nocy w sierpniu, po tym jak błyskawice przez wiele godzin rozświetlały niebo nad miastem i rozlegał się grzmot za grzmotem, dwóm siostrom poleciała krew z nosa. Spały na piętrowym łóżku, a białe poszewki poduszek i poszwy kołder z motywem z *Muminków* były zroszone krwią.

Krwawienie może nastąpić z błahego powodu, który można zbagatelizować; budzi uzasadniony niepokój, a zdarza się również, że jego skutki są katastrofalne. Mimo że krew i śmierć tak często występują w duecie, czerwony nie stał się kolorem śmierci; barwą śmierci jest czerń, związana z nocą i nicością, natomiast czerwień jest kolorem życia i miłości. Mało rzeczy jest ładniejszych od widoku

krwi uderzającej do głowy zmieszanemu młodemu człowiekowi i barwiącej mu policzki na czerwono w chwili, gdy spotyka spojrzenie innej młodej osoby.

Wobec tego to musiała być zielona trawa, która zabarwiła się na czerwono pod błękitnym niebem krwią umierającego bohatera, dawno temu, w szale walki, której dźwięki stawały się coraz cichsze i cichsze, a kolory świata coraz bledsze i bledsze, gdy zaledwie kilka minut temu jego trzęsące się, białe jak śnieg ciało ogarnął spokój.

Pioruny

Na otwartym polu pasły się krowy, a gdy spadł deszcz, pięć z nich schroniło się pod wielkim drzewem. Nagle piorun uderzył w drzewo i zwierzęta padły martwe. Widziałem ich zdjęcie w gazecie; z jakiegoś powodu zrobiło to na mnie tak ogromne wrażenie, pięć dużych ciał leżących na ziemi wokół drzewa, że wciąż to pamiętam. Całkiem możliwe, że nie widziałem takiego zdjęcia, tylko czytałem o tym zdarzeniu w gazecie i przechowuję je w pamięci w postaci obrazu. Ludzie również giną każdego roku od uderzenia pioruna, ale ja zapamiętałem właśnie tych pięć krowich ciał, może dlatego, że nie znały ojca, który w burzową pogodę był przywiązany do drzewa, i nie wiedziały, co oznaczają te krótkie błyski, raz po raz rozświetlające niebo, ani nie kojarzyły niczego z grzmotami, które z hukiem przewalały się później. Ruch pioruna jest mechaniczny; potężne światło i potężne ciepło pędzi nagle wzdłuż kanałów z nieba, uwolnione siły, które zabijają, są ekstremalnie gwałtowne. O człowieku trafionym przez piorun myślimy, że miał potwornego pecha, i tym samym umiejscawiamy to zdarzenie w ludzkiej perspektywie, podczas gdy w nieświadomości zwierząt uderzenie pioruna staje się wydarzeniem otwartym, które łączy wszystko razem: pole z zieloną trawą, deszcz padający z szarego nieba, krowy pod starym dębem, grzmot toczący się po niebie, wyładowanie elektryczne, które pędzi ku drzewu, spływa po nim do ziemi i do ciał, poraża je i sprawia, że ich duże serca się zatrzymują. Huk towarzyszący błyskawicy, a potem cisza. Deszcz, który wciąż pada na martwe zwierzęta. Właśnie o tym myślałem wczoraj wieczorem, gdy na dworze rozszalała się burza. Najpierw siedzieliśmy w salonie, od czasu do czasu licząc sekundy mijające od błyskawicy do grzmotu; burza była wiele kilometrów od nas. Deszcz uderzał o ziemię tak gwałtownie, że krople aż podskakiwały. Dzieci umyły zęby i położyły się do łóżek, czytaliśmy im na dobranoc, aż w końcu zgasiliśmy światło. Poszedłem do sypialni; leżąc na łóżku, czytałem wiadomości na komórce. Niebo było usiane błyskawicami, a grzmot, który rozległ się zaledwie kilka sekund później, był tak donośny, jakby niebo rozdarło się na pół. Kilka sekund później usłyszeliśmy przeraźliwy huk, porównywalny z odgłosem eksplozji. Miałem wrażenie, że cały dom się zatrzęsł. Wskoczyłem z łóżka i stanąłem przed oknem. Piorun musiał uderzyć bardzo blisko, ale żaden dom ani drzewo nie stały w płomieniach. Czy piorun mógł trafić w ulicę? Do pokoju weszły dzieci, były przestraszone. Staliśmy razem i patrzyliśmy na pustą drogę i ulewny deszcz. Ja też byłem roztrzęsiony, ale przede wszystkim czułem intensywną radość. Spytały, czy coś nam grozi, odparłem, że nie, że w pobliżu jest bardzo dużo wyższych budynków od naszego. Po chwili wróciły do siebie i położyły się spać. Ostatnią rzeczą, o której myślałem przed zaśnięciem, był huk, to, jaki był niewiarygodnie głośny. I o wieczorze

w Malmö, gdy staliśmy na tarasie z widokiem na miasto, na czarne ciężko niebo, które rozdzierały błyskawice, jedna za drugą, bez końca. Niebo tamtego wieczoru było najpiękniejszą rzeczą, jaką w życiu widziałem. Mało rzeczy podoba mi się bardziej od widoku błyskawicy, a dźwięk grzmotu zawsze wzmacnia poczucie życia. Woda i powietrze, deszcz i chmury również zawsze tu były, ale tak bardzo wrosły w życie, że ich wiek nigdy nie pojawia się w myślach i uczuciach, w przeciwieństwie do błyskawicy i grzmotu, powstających stosunkowo rzadko i w krótkich sekwencjach, które zdążyliśmy oswoić i jednocześnie czujemy się z nimi obco. Tak jak zdążyliśmy się oswoić i jednocześnie nadal czujemy się obco sami ze sobą i światem, którego jesteśmy częścią.

Guma do żucia

Guma do żucia występuje najczęściej w dwóch rodzajach: małych prostokątnych poduszeczek i płaskich podłużnych pasków. Małe drażetki mają dość twardą, gładką, podobną do emalii powierzchnię, rodzaj skorupy, która wydaje charakterystyczny trzask, gdy zęby przebijają się przez nią, i bardziej miękkie jądro, którego intensywny smak zostaje uwolniony, gdy tylko zanurzą się w nim zęby. Na podobnej zasadzie działają ampułki. Te dwie różniące się od siebie konsystencje pod wpływem żucia szybko zmieniają swój charakter. W ciągu pierwszych kilku sekund powstaje kaszkowata masa, zanim wytworzy się to, co stanowi kwintesencję gumy do żucia: zbita, gęsta, gładka i elastyczna substancja. Druga postać gumy, gładkie, podłużne paski, wyglądają jak plasterki świeżego makaronu i mają zupełnie inną konsystencję niż drażetki, ponieważ nie posiadają skorupy, dzięki czemu są bardziej miękkie. Nie mają też ukrytego jądra smaku. Żując gumę w paskach, niejako przeskakujemy zarówno fazę ampułki, gdy smak wystrzeliwuje w masę, jak i fazę kaszki, i przechodzimy automatycznie do właściwej postaci gumy do żucia.

Żucie czegokolwiek bez połykania jest z czysto fizjologicznego punktu widzenia pozbawione sensu. Podobnie ma się rzecz z paleniem papierosów, ale podczas palenia są uwalniane substancje stymulujące i powodujące uzależnienie, co tłumaczy, dlaczego dorośli ludzie ssą papierosy. Guma do żucia nie wywołuje takiego efektu i chyba jest najbardziej spokrewniona ze smoczkiem dla niemowląt, w którym zapoczątkowany odruch ssania najpierw oszukuje ciało, wmawiając mu, że pracuje po to, by zdobyć pokarm, a następnie zaczyna traktować siebie i samo ssanie jako odrębną wartość. Dlatego żucie gumy niewątpliwie ma w sobie coś infantylnego. Spędzam sam ze sobą tak dużo czasu, że nie zdawałem sobie z tego sprawy aż do chwili, gdy w zeszłym tygodniu pojechałem do niewielkiej wioski rybackiej położonej parę mil stąd, żeby odwiedzić niemieckiego redaktora działu kulturalnego, który spędza tam kilka miesięcy w roku. Gdy piszę i jadę samochodem, zawsze żuję gumę, i to nie jedną lub dwie drażetki, lecz całą paczkę naraz. Gdy zaparkowałem przed starym domem szypra, w którym mieszka dziennikarz, miałem usta zapchane gumą. Przypomniałem sobie o tym dopiero wtedy, gdy zadzwoniłem do drzwi. Wepchnąłem gumę do policzka i skupiłem się na tym, żeby jej nie żuć. Redaktor oprowadził mnie po domu. Był tak piękny, odremontowany i nowoczesnie urządzone, że mucha nie siada. Przez cały czas rozglądałem się za czymś, gdzie mógłbym wyrzucić gumę, ale nic takiego nie zauważyłem. W końcu usiedliśmy, dziennikarz podał kawę, a ja wykorzystałem okazję, dyskretnie wyjąłem z ust gumę i ukryłem ją w dłoni. Palec wskazujący i kciuk na uchu starej cienkiej filiżanki, trzy pozostałe zaciśnięte wokół gumy.

Rozmawialiśmy o literaturze, gospodarz opowiadał o dwóch książkach, które właśnie pisał. Po jakimś czasie guma przylegała już mocno do skóry, ochronna warstwa śliny zniknęła i miękka masa przykleiła się na stałe. Pomyślałem, że prawdopodobnie będzie chciał mi podać rękę na pożegnanie, i zebrałem się na odwagę. „Czy mógłbym to gdzieś wyrzucić?”, spytałem w końcu. „Gumę do żucia?”, zdziwił się. Wciąż mam przed oczami jego twarz i postawę, która wyrażała zaskoczenie zmieszane z naganą, a może nawet pogardę. „Guma do żucia?”, powtórzył. Chwila konsternacji i guma do żucia stała się najbardziej oczywistą rzeczą pod słońcem. Oderwał kawałek papieru i podał mi go, mówiąc: „Obok biurka stoi kosz na śmieci”. Prawie wszystkie inne błędy spotkałyby się z pobłażaniem, ponieważ byłem tam w roli pisarza, to znaczy artysty, to znaczy kogoś, kto może odciąć sobie ucho, rzucać mięsem, kto może przyjść pijany, a nawet wstrzyknąć sobie heroinę w jego łazience. Bo chociaż branie narkotyków jest głupie i infantylne, jest jednocześnie czymś imponującym. W każdym razie w przypadku artysty, ponieważ traktuje się to jako przejaw nonkonformizmu. Gdy mieliśmy po siedem, osiem lat, żucie gumy, najlepiej z otwartymi ustami, to było coś, co dawało prestiż i uznanie, oznaczało przekraczanie granic. Pamiętam, że oszczędzałem swoje gumy. Zdarzało się, że żułem je przez kilka tygodni, bo chociaż smak znikał po paru godzinach, konsystencja utrzymywała się znacznie dłużej. Ale to stare dzieje. Teraz wszystko jest bezcukrowe, więc smak znika już po kilku minutach, a konsystencja staje się luźna i ziarnista, nie mówiąc o tym, że jest zupełnie pozbawiona sprężystości. Z jednym wyjątkiem: Juicy Fruit. Wszędzie, gdzie mieszkałem i pisałem, w Volda i Bergen, w Sztokholmie i Malmö, wiedziałem, w których sklepach można dostać gumę Juicy Fruit. Z czasem było ich coraz mniej, więc zacząłem je chomikować. Moje biurko jest nadal pełne starych gum, które dzięki szarej barwie, kształtowi półkuli i wielu małym zagłębieniom przypominają zasuszone mózgi. Nie potrafię pisać bez gumy, więc nie wyrzucam jej, dopóki nie nastanie faza ziarnistości. O tym, że na szczęście nie tylko ja jestem obciążony tą przypadłością, jakże błahą i niegodną uwagi, przypominam sobie za każdym razem, gdy jestem w mieście, gdzie chodniki i place przed co bardziej popularnymi miejscami spotkań są pełne białych plam, rozmieszczonych równie przypadkowo jak gwiazdy na niebie; w ciemności oświetlonej przez latarnie, migoczące delikatnie na czarnym asfalcie, rzeczywiście wygląda to jak niebo usiane gwiazdami.

Tynk

Dzisiaj była mgła. Zazwyczaj przezroczyste, lekkie i niestawiające oporu powietrze było zmatowiałe od wilgoci. Wszystko się mieniło, wszystko było ciche, a nasz biały samochód błyszczał na żwirowym podejździe, gdy miałem odwieźć dzieci do szkoły. Mgła była tak gęsta, że nie widzieliśmy pól mijanych po drodze; zupełnie jakbyśmy jechali przez morze. Pomyślałem, że wystarczy taka niewielka zmiana w pogodzie, nic więcej, żeby zmieniła się również logika. Mgła utrudnia widoczność i stwarza inną dynamikę w przestrzeni. Nagle wyłaniają się drobne, bliskie elementy. Przejrzysta deszczówka na żwirze, w zagłębieniach po oponach. Czarna antena samochodowa, na którą wcześniej nie zwracałem uwagi. Błyszcząca skrzynka z bezpiecznikami. Wisząca na czerwonej ścianie domu, częściowo ukryta pod pnączami. W taki sam sposób pojawiają się elementy w naszych snach, w których obowiązuje inna logika. Także dynamika dźwięków była inna, nasze kroki na żwirze przypominały osobne, pozbawione tła trzaski, kliknięcie klamki w drzwiach samochodu brzmiało jak niewielki huk.

Teraz jest wieczór i mgła zelżała. Wieje wiatr od wschodu, w kierunku morza, jest przesiąknięty deszczem, który uderza o dach. To tak, jakby ściana stała otworem: po długim pięknym lecie wszystko pędzi ku jesieni. Liście spadają z drzewa, zielone, żółte i brązowe, w powietrzu unosi się zapach ziemi. To przyjemne uczucie. W tynkowaniu ścian, czym zamierzam zająć się jutro, jest także coś przyjemnego, tak jak w rozpalaniu kominka, sprawianiu, że polana zajmują się ogniem, lub jak w malowaniu ścian, co robiłem kilka tygodni temu.

Co jest w tym przyjemnego?

Tego nie wiem. Gdy jestem w trakcie pracy, nic przyjemnego w tym nie ma, wtedy myślę tylko o tym, żeby ją jak najszybciej skończyć. W takim razie to myśl o pracy musi sprawiać mi radość. Myśl o wykonywaniu czynności manualnej, o pracy z czymś materialnym. O drzewie, które chłonie w siebie farbę, a potem przez wiele lat znosi deszcz, wiatr i śnieg. O barwniku powstającym z substancji wydobywanych w kopalni w górach niedaleko Falun, które sprawiają, że farba wysycha i jest jakby metaliczna, i ściera się, gdy człowiek głaszcze drewnianą powierzchnię. To samo uczucie ogarnia mnie na myśl o piwie, które od zawsze warzy się w ten sam sposób, z wody, słodu i chmielu, i o chlebie, zwłaszcza jeśli sam go piekę: ugniatam razem mąkę, wodę, sól i drożdże i powstaje ciasto, najpierw kleiste, potem lepkie, aż w końcu przestaje przylegać do skóry, czekam, aż wyrośnie, formuję bochenki i wstawiam do pieca, skąd wychodzą z twardą, lekko przyrumienioną skórką i miękkim, suchym środkiem.

Podstawowe, proste, fundamentalne czynności. Ich namacalność i wiek: ludzie robią to od tysięcy lat. Właściwie ta cała rzeczywistość jest mi obca, ale

zawsze ją lubiłem, gdy miałem z nią kontakt. Uczucie przynależności do świata, bycia jego częścią. Dotykać czegoś świadomie, ze zrozumieniem. Nie tylko widzieć, nie tylko myśleć, lecz dotykać.

I dlatego cieszę się, że jutro będę tynkować. Porządnie zmiękczyć mur, pociągnąć go cienką warstwą tynku, tak żeby ją wchłonął, poczuć, że tracę kontrolę, gdy cała woda, deszcz i miękka zaprawa tynkarska zaczynają ściekać i kapać – tylko po to, by później odzyskać ją dziesięciokrotnie, gdy mur będzie błyszczał idealną bielą na tle szarości. Albo jeszcze lepiej: na tle szarości i zieleni, tak jak mur na końcu ogrodu jesienią ubiegłego roku. Wtedy nie tylko on wyłonił się z mroków niepamięci i ponownie zaznaczył swoją pozycję, ale cała ta część ogrodu, która nagle ukazała się naszym oczom – prawie tak jak wtedy, gdy stare pojęcie zostanie użyte w nowym kontekście i wszystko, co niegdyś reprezentowało, znowu zacznie przesączać się do myśli o świecie.

Żmije

Żmije nie słyszą. Już samo to sprawia, że ich świat różni się od naszego. Wprawdzie potrafią wyczuć drżenia w podłożu, co można uznać za prymitywny rodzaj słuchu, ale jeśli chcemy sobie wyobrazić ich życie, to, jak wiją się po ściółce leśnej, brak dźwięków i akustyki jest pierwszą rzeczą, którą należałoby wymienić. W świecie żmii nie słychać żadnych dźwięków. Żadnego ćwierkania, krzyków mew, żadnego głośniego ani cichego szelestu drzew liściastych, gdy wiatr przemyka między gałęziami, żadnego szumu fal. I przecież nie jest tak, że żmija wie o istnieniu dźwięków i o tym, że ona po prostu ich nie słyszy. Nie, dla żmii wiatr, który hula po lesie w czasie burzy, jest zupełnie bezdźwięczny, a ptaki unoszą głowę ku niebu i otwierają dziób w absolutnej ciszy. Żmija nie widzi też zbyt dużo, jej mała spłaszczona głowa pozostaje przez cały czas w kontakcie z podłożem, więc czerwonawe oczy widzą trawę, wrzosa, skały, ziemię pełną igieł, nagie korzenie, ale nie budzi to ich zainteresowania. Co innego ruch i zapach. Język, który żmija ciągle wysuwa przed siebie, wychwytuje cząsteczki zapachu, odczytuje je i nadaje im znaczenie. Jeśli przed chwilą minęło ją jakieś zwierzę, na pewno zostawiło ślad zapachowy, za którym można podążyć. Świat żmii jest bezdźwięczny, zarośnięty, pełen wibracji i zapachów. Żmija zawsze wie, czy w pobliżu są jej koleżanki. Zimą szukają swojego towarzystwa; nawet sto żmij może leżeć razem w podziemnych jamach lub skalnych zwaliskach. Gdy nadchodzi wiosna, budzą się z zimowego snu. Są wtedy zimne, poruszają się powoli i ospale. Trudno powiedzieć, jak to jest obudzić się po kilku miesiącach spędzonych w stanie zbliżonym do śmierci, bez jedzenia, picia, z lodowatym ciałem, które stopniowo się ogrzewa, ale nie za mocno, tylko tyle, aby żmija była w stanie się ocknąć, poczuć, że żyje, i wypełznąć na powierzchnię. Żmije wiedzą, czym jest ciepło, i szukają go. Powoli wiją się przez swój niemy przyziemny świat w stronę otwartego południowego zbocza, na którym mogą się wygrzewać. Gdy przez las idzie człowiek, stąpając ciężko, czego odpowiednikiem w naszej rzeczywistości byłby ktoś wrzeszczący i hałasujący, żmija chowa się i zastyga nieruchomo. Każdy krok człowieka rozchodzi się w jej ciele jak głuche dudnienie. Jest kwiecień i chociaż świeci słońce, powietrze jest chłodne. Żmija pełźnie dalej, opuszcza niski las i dociera do najwyższej położonej części kamienistej plaży, jakieś sto metrów nad powierzchnią morza, gdzie układa się na dużym płaskim głazie. Nadchodzi mężczyzna i chłopiec. Kamienie sprawiają, że żmija ich nie zauważa. Mężczyzna zatrzymuje się, pokazuje chłopcu gada, pochyla się i rzuca kamieniem, który trafia żmiję w środek ciała. Gad próbuje odpełznąć, ale uderza go kolejny kamień – i jeszcze jeden. Żmija wije się bezradnie, przygnieciona kamieniami. W końcu znajduje prześwit, przez który wypelza. Gdy wystawia pysk, mężczyzna stoi

zaledwie metr od niej. Kamień, który trafia w jej płaską głowę, rozbija ją.

To się wydarzyło czterdzieści lat temu. Nadal żałuję, że to zrobił, i nadal nie rozumiem, dlaczego to zrobił, ale wyglądał tak, jakby jej nienawidził, bardziej niż czegokolwiek innego. Nigdy wcześniej go takim nie widziałem – ani nigdy później.

Usta

Usta są jednym z pięciu otworów w ciele, a tym samym miejscem, przez które odbywa się wymiana między ciałem a światem. Najbardziej zewnętrzną część ust stanowią wargi, dwie stosunkowo wąskie wydmy leżące poziomo naprzeciwko siebie z przodu głowy, u dołu twarzy, pod nosem. Te wydmy różnią się od wszystkich innych widocznych części ciała tym, że są czerwone, w odróżnieniu od białej, żółtobiałej, brązowej lub czarnej skóry twarzy, oraz tym, że są wilgotne. Zarówno wilgoć, jak i kolor są charakterystyczne dla wnętrza ciała. Dzieje się tak, ponieważ wargi należą jednocześnie do warstwy wewnętrznej i zewnętrznej: są ujściami. Takie niezdecydowane strefy, które nie są ani jednym, ani drugim, pojawiają się wszędzie tam, gdzie wewnątrz spotyka się z tym, co zewnętrzne, mokre z suchym. Dotyczy to również odbytu, który – podobnie jak wargi – jest wilgotny i ma inny kolor i strukturę niż otaczająca go skóra: jest czerwono-brązowy i odrobinę śluzowaty. W naturze jest tak w miejscach, w których woda spotyka się z lądem, w strefie pływów, wzdłuż brzegów rzek i w ich ujściach, gdzie ziemia jest mokra, nie dotyczy to jednak dna rzeki ani łąki, ani pola, ale czegoś pomiędzy, czegoś, co charakteryzuje również tamtejsze życie, z rybokształnymi zwierzętami, które równie łatwo poruszają się pod wodą, jak i nad nią. Wargi i odbyty są ujściami wnętrza ciała, ale podczas gdy ten drugi jest kanałem wydalniczym, zamkniętym mięśniem, który pod wpływem nacisku otwiera się od środka, wargi działają na odwrót: osłaniają otwór, przez który substancje z zewnątrz są wprowadzane do wnętrza ciała. Za wargami znajdują się zęby, jak ogrodzenie, twarde i gęste, a za ogrodzeniem otwiera się grot, to znaczy jama ustna. Jej ściany, zwane dziąsłami, są pokryte bladoczerwoną błoną śluzową, która jest zawsze mokra, a w samym środku groty króluje język, duży mięczakowaty mięsień, również bladoczerwony, ale w odróżnieniu od twardych dziąseł miękki, bardziej niż wargi, za to nie tak gładki jak one, lecz odrobinę chropowaty. Gdy usta są zamknięte, język wypełnia niemal całą jamę ustną. Jest przyczepiony do podłoża w podobny sposób jak ciało omułka jadalnego do muszli. Nad tym przyczepem otwiera się gardło, tunel prowadzący w głąb ciała. Z sufitu otworu zwisa języczek podniebienny, miękki, podobny do stalaktytu wyrostek, a tuż za nim otwiera się inny wąski korytarz, który wiedzie do nosa, a tym samym jest powiązany bezpośrednio ze światem zewnętrznym przez dwa nozdrza, które – w przeciwieństwie do ust i odbytu – są stale otwarte.

To w ustach znajduje się zmysł smaku. To tutaj rozstrzyga się, czy coś jest smaczne, czy niesmaczne, kwaśne czy słodkie, słone czy gorzkie. To tutaj pokarm zostaje zmielony dzięki pracy zębów, przy asyście języka, który przesuwając się pod ich tnące krawędzie, zapoczątkowuje proces trawienia, którego

celem jest przekształcenie każdego, jakkolwiek byłby duży, kawałka zewnętrznego świata w element wnętrza. Ta praca daje dużo radości, na przykład lekko kwaskowaty smak wypełniający jamę ustną, gdy soczysty liść sałaty spotyka język, lub to cudowne chrupkie doznanie, gdy zęby przebijają się przez świeżą, kruchą powierzchnię. Nie ma żadnego powodu, by sądzić, że inne rodzaje ust, na przykład królika czy świnki morskiej, biorą udział w tym świętowaniu z mniejszą radością niż nasza. Już samo to, że wszystkie zwierzęta mają usta i że trudno je sobie wyobrazić bez nich – w przeciwieństwie do, na przykład, oczu lub uszu – sprawia, że trzeba przyznać rację Arystotelesowi, gdy pisze, że wszystko, co żyje, posiada duszę. Można jedynie dodać, że wszystko, co żyje, odczuwa radość, a przynajmniej zadowolenie z tego, że coś jest smaczne, gdy otwierają się usta i coś z zewnątrz trafia do środka, i jest mielone, a drobne błyskawice smaków pędzą przez głowę i powoli znika przykre uczucie głodu.

Dagerotypia

Fotografia jest kojarzona ze współczesnością, z czymś maszynowym, jest częścią naszych czasów, czasów nowoczesnych technologii, czymś, co odróżnia naszą kulturę od poprzednich. Ale zasada mówiąca o tym, że niektóre substancje są wrażliwe na światło i że może ono zostawić w nich odcisk, jest znana co najmniej od średniowiecza, między innymi dzięki Albertowi Wielkiemu, nauczycielowi Tomasza z Akwinu. Był on teologiem i filozofem, przypisuje mu się również zainteresowanie alchemią; w XIV wieku został kanonizowany. Nieco dziwaczne wydaje mi się, by ktoś taki jak on lub inni arystotelicy w epoce średniowiecza i renesansu mogli stać w swoich pracowniach otoczeni cieczami i substancjami i eksperymentować z azotanem srebra, rtęcią, miedzią i szkłem, i nagle któregoś dnia miałyby im się udać naświetlić płytkę tak, by pokój, w którym stali, znalazł się na negatywie obrazu. Z technicznego punktu widzenia byłoby to możliwe, ponieważ wszystkie niezbędne materiały i odczynniki istniały już w tamtych czasach, jednak to, że umieliby ich użyć do sportretowania świata, leżało tak daleko poza horyzontem ich wyobrażeń, ich myśli o tym, czym jest świat i co to znaczy być człowiekiem, że wydaje się to wprost nie do pomyślenia. A jednak w pewnym sensie to właśnie wtedy narodziła się historia fotografii, nie dzięki wiedzy o światłoczułości azotanu srebra, lecz dzięki powolnemu zwrotowi myśli w stronę świata materialnego, który reprezentowała filozofia natury. W 1820 roku nie było to już tak niezwykle, wielu eksperymentowało z materiałami światłoczułymi, między innymi Joseph Nicéphore Niépce, którego zdjęcie z Burgundii wykonane w 1826 lub 1827 roku jest uważane za najstarszą zachowaną fotografię. Składa się ona z ciemniejszych i jaśniejszych partii na metalowej płytce i jest tak niewyraźna, że potrzeba czasu, żeby człowiek zrozumiał, że ciemne to ściany domów i dachy, a jasne to niebo. Niépce zrobił to zdjęcie z okna poddasza, właśnie widok z jego okna tamtego dnia został uwieczniony na płytce. Fakt, że wszystkie fotografie z tamtego okresu wydają się lekko upiorne, nie wynika jedynie z tego, że są mgliste, niewyraźne, motywy niejako unoszą się w powietrzu, jakby to, co materialne na zdjęciach, należało do innego wymiaru, lecz również dlatego, że nie ma na nich ludzi. Czas naświetlania był zbyt długi, by można było uwiecznić poruszające się postacie. Być może właśnie to jest najbardziej niesamowite w pierwszych fotografiach: widać na nich tylko to, co najbardziej trwałe – to, co ludzkie, jest zbyt ulotne i krótkotrwałe, by mogło gdziekolwiek zostawić swój ślad. Dla stworzeń, dla których czas płynie wolniej niż dla nas, właśnie tym jest świat. Perspektywa zewnętrzna nie była niczym nieznanym, ponieważ to, co boskie, Bóg i Jego aniołowie, w co nadal wierzono, było niezmiennie i znajdowało się poza czasem. W ich oczach to, co

ludzkie, musiało być wyjątkowo ulotne i nietrwałe. Pierwsza fotografia człowieka została wykonana w 1838 roku przez Louisa Daguerre'a, jedenaście lub dwanaście lat po tym, jak Niépce utrwalił widok z poddasza. To zdjęcie również przedstawiało widok z okna, na Boulevard du Temple w Paryżu, i również wtedy czas naświetlania był tak długi, że utrwaliły się jedynie nieruchome elementy. Jest rano, ulica zalana słońcem, rząd drzew rzuca cień na chodnik i wszystkie szczegóły – od licznych kominów i spadzistych dachów do szprosów okiennych w najbliższej położonej białej kamienicy – są ostre i wyraźne. Zdjęcie wywołuje nieprzyjemny dreszcz, ponieważ sądząc po porze dnia, ulica powinna być pełna ludzi, koni i powozów. W środku złocistej poświaty u dołu fotografii, gdzie zaczyna się oświetlony słońcem chodnik, stoi mężczyzna z uniesioną nogą. Gdy po raz pierwszy zobaczyłem to zdjęcie, pomyślałem, że to zdjęcie diabła. I nadal tak myślę. Jako jedyna wyraźna postać na tej tętniącej życiem ulicy okazał się na tyle odporny i wytrzymały, że znalazł się na dagerotypie. Jest w nim coś, co każe podejrzewać, że chwilę wcześniej odwrócił głowę i spojrzał w górę na fotografa. Ale fotograf nie widział tego, co pokazuje zdjęcie. Louis Daguerre obserwował ruchliwą ulicę i być może w ogóle nie zwrócił uwagi na tego mężczyznę, aż do chwili, gdy wiele godzin później fotografia została wywołana, i wszystkie inne postaci, poza tą jedną, zniknęły.

Listy do nienarodzonej córki

29 WRZEŚNIA. Dzień zaczął się zwyczajnie. Obudziłem Twoje rodzeństwo, zrobiłem im śniadanie i odprowadziłem na szkolny autobus, potem trochę pracowałem, aż w końcu wsiedliśmy z Lindą do samochodu i pojechaliśmy do Ystad. Wybieraliśmy się do położnej. Chociaż już trzykrotnie przechodziliśmy przez wszystkie fazy tego dziewięciomiesięcznego procesu, każda taka wizyta ma w sobie coś uroczystego. Linda siedziała obok mnie w fotelu pasażera, z brzuchem opiętym pasem bezpieczeństwa. Pomyślałem o Tobie i o tym, że muszę jechać ostrożnie. Gabinet położnej znajdował się w małym budynku za centrum miasta, tuż obok centrów handlowych. Dzień był szary i okolica raczej nie podnosiła na duchu, gdy zatrzymaliśmy się na dużym parkingu, ale wszystko poszło w niepamięć, kiedy przyszła nasza kolej i weszliśmy do gabinetu – bo pojechaliśmy tam po to, by zobaczyć Ciebie. Po krótkiej rozmowie położna poprosiła, żeby Linda położyła się na kozetce. Usiadłem obok Twojej mamy, która podciągnęła sweter i odsłoniła brzuch. Położna nałożyła na niego trochę przezroczystego żelu i zaczęła przesuwając po nim małą głowicą aparatu, i wtedy na ekranie po drugiej stronie pokoju pojawiło się Twoje ciało otoczone ciemnym płynem i szczelnymi ścianami. Obraz, ze wszystkimi ziarnistymi strefami i niewyraźnymi, niemal sennymi ruchami, wyglądał tak, jakby był nadawany z miejsca położonego gdzieś daleko, daleko stąd, z przestrzeni kosmicznej lub z głębi oceanu, i nie sposób było go powiązać ze zwykłym pokojem, w którym siedzieliśmy, ani z lekko wypukłym brzuchem Lindy, choć przecież wiedziałem, że właśnie stamtąd pochodził. W pewnym sensie to wrażenie olbrzymiej odległości miało swoje uzasadnienie, ponieważ okres prenatalny, w którym ciało rośnie w wypełnionej płynem owodniowym jamie w ciele matki i pozornie powtarza wszystkie etapy rozwoju człowieka, jest związany z okresem prehistorycznym i dzieli go od nas przepaść, nie w ujęciu przestrzennym, lecz czasowym. Z drugiej strony współczesna technologia sprawiła, że ten obraz jest możliwy. A więc to Ty tam leżałaś. A więc to Ty tak powoli dotykałaś swoich członków, a nie jaszczurka ani żółw. Widzieliśmy Twoje serce, biło szybko, tak jak powinno, i miało wszystkie komory i przegrody, tak jak powinno. Widzieliśmy Twoją twarz, mały nos i mózg, mały, ale kompletny. Widzieliśmy kręgosłup, dłonie, palce, łydki i uda. Leżałaś z nogami przyciągniętymi do klatki piersiowej i cały czas poruszałaś jedną ręką, która zdawała się unosić osobno, otwierałaś ją i zamykałaś. Położna powiedziała, że z dużym prawdopodobieństwem jesteś dziewczynką.

A więc jesteś Anne.

Rodzice dają dziecku życie, dziecko daje rodzicom nadzieję. To transakcja.

Brzmi tak, jakby to był ciężar?

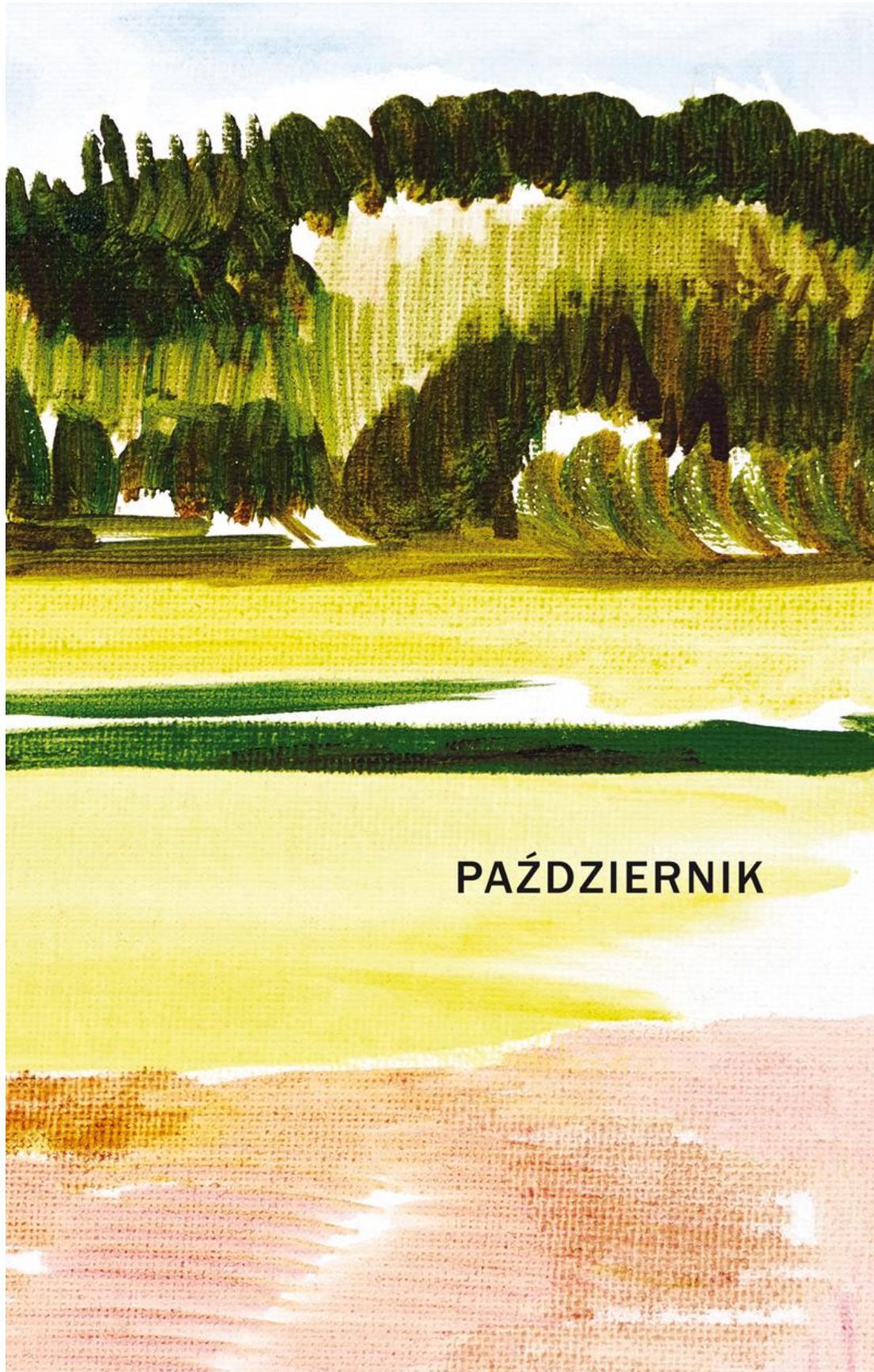
Ale tak nie jest. Nadzieja nie wymaga wysiłku.

A ja jestem sentymentalny. Tylko jak pisać o tym, co jest tak małe i tak wielkie, tak proste i tak skomplikowane, tak trywialne i tak... święte?

Sentymentalny to inaczej nacechowany uczuciowo. Ale co to są uczucia? Co czujemy, kiedy czujemy? Mówimy, że ktoś jest sentymentalny, kiedy przesadnie wyraża uczucia, kiedy nimi szasta. Czyżby powściągliwość była największą cnotą?

Dzisiejsza noc jest usiana gwiazdami. Przed chwilą byłem na dworze i wysikałem się na trawnik. Robię to tylko wtedy, gdy wszyscy śpią i jestem sam. Dzień za dniem z otwartym, jasnym niebem – takie mieliśmy w tym roku lato, od maja do teraz, w dzień słońce, w nocy gwiazdy. Nie ma nic wspanialszego od dobrego lata, które powoli odchodzi, gaśnie. Lato pozostawiło po sobie pewnego rodzaju sytość, coś się napełniło. A teraz następuje zwrot, wsi nie otaczają już falujące pola, tak niewyobrażalnie złote pod wysokim błękitnym niebem – od strony drogi pola przypominają jeziora między skupiskami domów – lecz rzysko, bo przez ostatnie tygodnie kombajny i ciągniki powoli ślizgały się po nich tam i z powrotem, wysokie bele sprasowanej słomy stoją jeszcze gdzieś gdzieś niczym mury na wietrze, który coraz częściej wieje od strony Bałtyku.

Coś się napełniło, a teraz się opróżnia: powietrze z ciepła, drzewa z owoców i liści, pola ze zbóż. A wszystko to dzieje się, gdy Ty rośniesz cicho w ciemności.



PAŹDZIERNIK

Gorączka

Mam gorączkę. Trzęsę się z zimna, chociaż moje ciało jest o kilka stopni cieplejsze niż zwykle. Skóra jest również wrażliwsza niż zwykle: każdy dotyk, nawet lekki ucisk ubrania sprawia mi dyskomfort. Dzięki temu czuję wyraźnie, jak doskonale ciało jest przystosowane do świata, jak jest z nim zjednoczone, jakby świat nadawał na określonej częstotliwości, a ciało bez najmniejszych zakłóceń wylapywało jego sygnały wewnątrz tej strefy, w której częstotliwość ciała i świata są identyczne; wszystko przebiega gładko i sprawnie. Ciało porusza się w świecie, otoczone jego powietrzem, dotyka jego przedmiotów i powierzchni, i chociaż różnią się od siebie – jak miękka mokra ścierka, którą ściska jedna dłoń, od twardej krawędzi wanny, o którą opiera się druga – znajdują się w spektrum, wobec którego jesteśmy otwarci. To z kolei sprawia, że prawie zupełnie znikają nam z oczu w tym nieokreślonym, lecz stale obecnym odczuciu, że świat jest przedłużeniem ciała. Gdy pojawia się gorączka, wzrasta stopień wrażliwości i znika zażyłość ciała ze światem, który nagle napiera na nie i staje się widoczny, nie otwarciem wrogi, ale obcy. Jednak gorączka nie wchodzi jedynie w poziome interakcje z rzeczami, które otaczają ciało; otwiera również pionową oś i tnie nią przeszłość, ponieważ będąc stanem wyjątkowym, budzi swoje wcześniejsze manifestacje. To dlatego gorączka zawsze niesie ze sobą coś dobrego. Piszę te słowa przy biurku w małym domu w Glemmingebro, na samym południu Szwecji, pod każdym względem daleko od miejsca, w którym dorastałem, i od tego, kim wtedy byłem. Mimo to tamten świat jest dziwnie obecny, odkąd wstałem kilka godzin temu. Do świadomości wciąż napływają nowe wspomnienia. W gorączce zmienia się poczucie czasu; nagle mogłem znajdować się całkiem rozbudzony w cichym domu spowitym ciemnością, jakby noc była plażą, na której zostałem opłukany przez fale. Ale znacznie ważniejsza – i właśnie ona czyniła ten stan pożądanym – była troska, którą zostałem otoczony. „Gorąco ci?“, pytał głos. Dłoń na czole. „Ty masz gorączkę!“. A z gorączką wiązały się pewne przywileje. Jedzenie podawane do łóżka. Winogrona. Nowe komiksy. Z gorączką wiązało się zainteresowanie. Ciągłe pytania o to, jak się czuję, co słyhać. Dłoń na czole, dłoń mierzwiąca włosy. W dzieciństwie nikt mnie nigdy nie dotykał, pieszczoty należały w naszej rodzinie do rzadkości, chyba że ktoś był chory i miał gorączkę. Wciąż pamiętam to paradoksalne uczucie, to, jak nieprzyjemny był jakikolwiek dotyk dla trawionej gorączką skóry, a jak przyjemny dla mnie.

Kalosze

Ponieważ kalosze są dopasowane do stopy i prawie całej łydki niczym łupina, mogą, gdy stoją nieużywane na podłodze w korytarzu, na pierwszy rzut oka same wyglądać jak stopa z łydką amputowaną tuż pod kolaniem. I nie są w tym odosobnione; wiszące kurtki i koszule również przypominają ciała, których są powłokami. Gdy późnym wieczorem lub wczesnym rankiem wchodzę do przedpokoju, mam wrażenie, że odciski całej rodziny wiszą na wieszakach i stoją na podłodze w ciemności jak ich pewnego rodzaju negatywy. Zdarza się wówczas, że myślę o tym, jak wyglądałoby moje życie, gdyby zginęli w wypadku, i zostałyby po nich tylko to, co kiedyś sobą wypełniali. Właśnie tak ma się rzecz z moimi kaloszami, ponieważ odziedziczyłem je po ojcu. Przestrzeń, którą kiedyś wypełniały jego stopy i łydki, stoi teraz na podłodze w korytarzu tuż przy ścianie. Nie myślę o nim teraz zbyt często, ale robię to za każdym razem, gdy wsuwam stopy w kalosze, które pasują na mnie jak ulał, i chodzę w nich po ogrodzie. Ze wszystkich rzeczy, które po sobie zostawił, zabrałem tylko dwie: jego lornetkę i kalosze. Dlaczego właśnie te rzeczy, nie wiem. Może dlatego, że były jednocześnie neutralne i przydatne? Na przykład jego kurtki z cielęcej skóry nigdy nie mógłbym nosić, ponieważ znajdowała się zbyt blisko niego, była zbyt typowym wyrazem jego osobowości, której ani bym nie chciał, ani nie mógł dźwigać na swoich barkach, natomiast kalosze nie są takim samym wyrazem indywidualności, są bardziej uniwersalne, jednakowe dla wszystkich. Obrazów, które wisiały u niego na ścianach, także nie mógłbym wziąć, one również były mu bliskie, skoro właśnie je wybrał i odnajdywał przyjemność w patrzeniu na nie lub w ich posiadaniu; natomiast lornetka nie ma żadnego udziału w tej indywidualności, lornetka to lornetka, stworzona po to, by powiększać przedmioty znajdujące się w dużej odległości, tak jak kalosze są po to, by nie przepuszczać wody. Do tego nadają się idealnie. Gruba, lekko sztywna powierzchnia gumy jest błyszcząca i gładka, dzięki czemu woda nie znajduje żadnego punktu zaczepienia. Żadnej szczeliny ani dziurki, przez którą mogłaby się przecisnąć, spływa więc sobie powoli w dół albo osiada na gumie w niezauważalny sposób jak wilgotna błona; cholewy okrywające łydki są tak ciasne, że wejście do wnętrza kaloszy jest zamknięte. Radość wynikająca z faktu, że but jest szczelny, bywa ogromna – wystarczy pomyśleć o uczuciu, jakie pojawia się, gdy człowiek idzie po błotnistym polu i stopy zapadają się w mazi, a jednak nic nie dostaje się do środka; błoto rozbryzguje się wokół kaloszy, ale stopy pozostają suche – i w pewnym sensie niezależne. Bo czy w tym wszystkim nie chodzi właśnie o poczucie niezależności? Czy to nie ono daje radość, gdy człowiek chodzi po bagnie albo brodzi w strumieniu w mocnych wodoszczelnych kaloszach? Czy nie o to, by być niezniszczalnym,

zabezpieczonym, niezależnym bytem w świecie? Tak, och tak, właśnie w t y m tkwi radość z posiadania kaloszy.

Meduzy

Chociaż umiemy ustosunkować się do tak prymitywnych stworzeń, jak rekiny, krokodyle czy strusie, w tym sensie, że mają oczy, którymi widzą, i mózg, nawet jeśli niewielki, który pozwala im działać pod wpływem uczuć, takich jak pożądanie czy strach, meduzy są tak prymitywne i proste, że żadna identyfikacja nie jest możliwa. Niczego, co charakteryzuje nasze życie, nie znajdziemy u meduzy. Ale chociaż meduzy pojawiły się na świecie sześćset milionów lat temu i były pierwszymi stworzeniami, które przekształciły się z formy jednokomórkowej w twór wielokomórkowy, również one są naszymi rówieśnikami. To, co nazywam życiem, byciem żywym, jest łaską, której one także dostąpiły. Z wyglądu przypominają dzwonki z długimi welonami. Niektóre, na przykład chełbie modre, są prawie zupełnie przezroczyste. Żyją w morzu i poruszają się z niemal majestatyczną godnością. Mogą przemieszczać się do przodu, kurcząc ciało i rozprężając je niczym powoli pompujący mięsień, ale wobec prądów morskich ich siła jest znikoma, przez co nie są w stanie same zdecydować o tym, gdzie wylądują. Te morskie dzwonki są ślepe i nieme, ale nie są nieczułe, bo chociaż nie mają mózgu, przez ich ciała przebiegają włókna nerwowe, i chociaż może nie odczuwają głodu ani pożądania w naszym rozumieniu, jedzą i się rozmnażają. Gdybyśmy mieli zastanowić się nad sensem życia, powinniśmy zwrócić się w stronę meduz i grzybów, które były pierwszymi wielokomórkowymi stworzeniami na świecie. Po co żyją? Na czym polega ich życie? I może najważniejsze: co warto jest ich życie? W dzieciństwie łowiliśmy z kolegami chełbie modre i rzucaliśmy nimi w siebie prawie tak jak śnieżkami; doskonale dopasowywały się do kształtu dłoni i kłaskały obrzydliwie, gdy trafiały w plecy albo w udo. Natomiast przed bełtami festonowymi zawsze staraliśmy się mieć na baczności, bo wszyscy zostaliśmy kiedyś poparzeni ich długimi niewidzialnymi mackami i czuliśmy piekący ból, który był silniejszy od poparzenia pokrzywą – może dlatego, że poparzeniu ulega często większa powierzchnia ciała, jeśli człowiek zapłacze się w parzydełka. Meduzy wyglądały jak małe słońca, gdy unosiły się w wodzie, od pomarańczowych ciał w kształcie okręgów do promieni, które od nich wystrzeliwały. Na to, co w nich przedziwne, tak różne od wszystkiego, co do tej pory znaliśmy, nigdy nie zwracaliśmy uwagi. Dopiero gdy jako jedenastolatek wybrałem się z ojcem na wycieczkę wzdłuż przybrzeżnych skał na samym końcu wyspy, na której mieszkaliśmy, uderzyło mnie to, jak są fantastyczne. Gdy dotarliśmy do krawędzi skały, w wodzie, jakieś siedem metrów pod nami, pływało kilkaset bełtw, kołyszac się niczym szczątki rozbitego statku na falach, które uderzały o brzeg tego ustronnego zakątka wszechświata.

Wojna

Często odwożę dzieci do szkoły w Ystad, po drodze mijamy długi na wiele kilometrów poligon wojskowy. Leży nad morzem i składa się z plaż, pól i zielonych wzgórz, które wznoszą się ku krawędziom skał, skąd rozciąga się widok na wszystkie strony. Tego ranka flaga była wciągnięta na maszt, co oznaczało, że wojsko przeprowadza szkolenie strzeleckie. Chociaż mieszkamy pięć kilometrów stąd, czasem słyszymy huk wystrzałów, te dziwne, niemal hipnotyczne odgłosy jakby ze snu. Rosja zbroi się, jej aktywność na terenach przygranicznych wzrasta, co sprawia, że pojawiają się dyskusje na temat redukcji szwedzkich sił zbrojnych, jakiej dokonano w ciągu ostatnich dziesięciu lat. A jednak myśl o wojnie pośród tych pięknych krajobrazów wydaje się odległa i równie nierealna jak sen, podobnie jak głucho wystrzały z armat, przypominające grzmoty, które słyszę, gdy popołudniami grabię liście w ogrodzie. Co oznacza wojna, nie wiem, ale wyobrażam sobie, że czasem zbliżam się do jej zrozumienia; na przykład kilka tygodni temu przeczytałem artykuł o przypadkach śmierci w wyścigach samochodowych, w którym było napisane, że przez dziesięć lat od zakończenia drugiej wojny światowej nie istniała żadna kultura bezpieczeństwa, ponieważ ludzie byli oswojeni z myślą o śmierci i akceptowali ją. Ta teoria wydaje mi się równie sensowna i prawdopodobna, jak szokująca, ponieważ mogę ją odnieść do naszych czasów i w ten sposób uzmysłwić sobie jedną z konsekwencji wojny. Skoro wojnę – stan wyjątkowy, strefę człowieczeństwa naznaczoną okrucieństwem i męką – większość z nas obserwuje z zewnątrz (w podobny sposób odnosimy się do okrucieństw w świecie fikcji), dotyka ona jedynie naszej racjonalnej strony, tego, co rozumie i potępia, ewentualnie rozumie i akceptuje. Tymczasem istota wojny polega właśnie na tym, by zniszczyć całkowicie to, co racjonalne, znieść wszelkie zasady, prawa i porozumienia, unicestwić wszystkie uznane wartości i w ten sposób dotrzeć do naszych najgłębszych ocen, dotyczących tego, kim jesteśmy. Nie wyobrażam sobie żadnej wojny, która nie dotyczyłaby tożsamości. A tożsamość jest tak fundamentalnym pojęciem, tak blisko związanym z uczuciami i popędami, i tak bardzo oddalonym od zasięgu rozumu, że nie sposób jej przewidzieć ani odrzucić. Skutek jest taki, że to, co niesie ze sobą wojna, jej konsekwencje, zostają zidentyfikowane wyłącznie przez tych, którzy w niej uczestniczą.

W Szwecji, gdzie mieszkam, ostatni raz wojny toczyły się w siedemnastym wieku, to znaczy w czasach Montaigne'a, Cervantesa i Szekspira. Nie oznacza to jednak, że wojna stała się zjawiskiem zapomnianym, ponieważ w kulturze jest stale obecna; nie ma wieczoru, by w telewizji nie pokazywano żołnierzy, nie ma dnia, by w gazecie nie pisano o wojnie. Dziewięcioletni syn sąsiadów ciągle bawi się

w wojnę. Dla niego każda sytuacja może przerodzić się w sytuację wojenną. W jego domu roi się od zabawek militarnych. Miecze i tarcze, strzały i łuki, kusze, pistolety, rewolwery, karabiny, broń maszynowa, duże futurystyczne egzemplarze niby-broni z plastiku. Razem z ojcem ogląda filmy z czasów drugiej wojny światowej, długie czarno-białe sekwencje z Oceanu Spokojnego, z japońskimi samolotami zestrzeliwanymi przez amerykańskie jednostki marynarki wojennej lub rozbijającymi się o nie, z okrętami podwodnymi torpedującymi statki; sekwencje z wojny w głębi Europy, z żołnierzami czołgającymi się w śniegu lub błocie i szybkimi jak błyskawica ostrzałami z katuszy. Kiedyś, gdy zapukałem do ich drzwi, znalazłem dziewięciolatka leżącego na podłodze w hełmie na głowie, z karabinem w ręce, podczas gdy oboje rodzice bandażowali go papierem toaletowym, ponieważ chłopiec udawał rannego żołnierza.

Dlaczego mały chłopiec przez cały czas odwołuje się do wojny, tego oczywiście nie wiem. Ale podejrzewam, że ma to związek z tym, że zabawa w wojnę jest jedyną znaną mu formą rozładowania agresji, dzięki niej nie tłumi agresji w sobie, lecz pozwala jej się uwolnić; nie swobodnie i bez kontroli, nie w sposób wywołujący lęk, lecz określonymi kanałami i korytarzami ciągnącymi się przez jego świat. Bo właśnie tak wygląda drugie oblicze wojny; wojna upraszcza życie, stawia konkretne cele i przydziela wszystkim konkretne zadania, które można rozwiązać jasno określonymi metodami. Wojna uwalnia w człowieku nie tylko uśpione, irracjonalne siły, lecz także te racjonalne; jest zarówno prostą formą ostrza, jak i skomplikowanym życiem, które unicestwia. To, co proste i twarde, pozwala synowi sąsiadów utrzymać w ryzach to, co miękkie i skomplikowane. Wystrzały, które usłyszy po powrocie ze szkoły, napędzą go radością, bo leży w nich obietnica czegoś jeszcze prostszego i twardszego, co nas wszystkich fascynuje.

Wargi sromowe

Wargi sromowe to nazwa podłużnych fałd, które z dwóch stron zbiegają się nad cewką moczową i ujściem pochwy u kobiet i zasłaniają oba otwory czymś, co przypomina zasłonę ze skóry. Istnieją dwie pary warg sromowych, większe i mniejsze. Skóra niemowląt jest równa i gładka, a lekko zaokrąglona szczelina, która powstaje między tymi dwiema pulchnymi, poduszeczkowatymi częściami, kształtem i wielkością przypomina wlot monet albo małe usta. Kiedy niemowlak-dziewczynka leży na przewijaku, zdarza się, że czasem wsuwa dłoń w szczelinę, ukazując to, co znajduje się w środku, lekko czerwone i błyszczące wilgocią. Ojciec może myć tę część dziewczęcego ciała wyłącznie przez pierwsze lata życia dziecka, w każdym razie takie jest moje odczucie; gdy tylko dziewczynki były wystarczająco duże, wręczałem każdej z nich namydloną myjkę i prosiłem, żeby umyły się tam same, gdy siedziały w wannie. Robiłem tak, ponieważ w ciągu ostatniej dekady męskie spojrzenie stało się podejrzane, i to nieokreślone, lecz stale obecne poczucie winy wdarło się również w relacje między ojcem a dzieckiem, relacje, które – zwłaszcza w kontekście nagości – stały się przesadnie ostrożne. Zresztą do tego tekstu również wdarło się poczucie winy, bo czy porównanie do wlotu monet nie jest niestosownie uprzedmiotawiające i z gruntu wrogie kobietom? Ale ciało jest przede wszystkim ciałem, anatomią, biologią; właśnie tak się je odczytuje, odkąd tylko staje się widoczne dla świata w badaniu ultrasonograficznym, podczas którego liczy się palce rąk i stóp, mierzy długość nóg i średnicę czaszki, kontroluje pracę serca i ustala płęć. To, że niektóre części ciała w późniejszym okresie życia trzyma się w ukryciu, ba, nawet się o nich nie wspomina ani nie opisuje bez poczucia wstydu, jest, być może, najbardziej charakterystyczną ludzką cechą. Wstyd jest jak zamek, trzyma w zamknięciu to, co należy przechowywać pod kluczem, i stanowi jeden z najważniejszych mechanizmów w życiu społecznym. Wstyd reguluje różnice, stwarza tajemnice, buduje napięcie. Przeciwwagą i antytezą wstydu jest pożądanie, które całą swoją istotą stara się zatrzeć różnice, rozwiązać tajemnice i uwolnić napięcie. Główna bitwa między wstydem a pożądaniem rozgrywa się na poziomie seksualności. Jedną z najbardziej interesujących cech obu tych emocji jest to, że są spokrewnione z fikcją, w tym sensie, że obie pracują z alternatywnymi rzeczywistościami. Wstyd obstaje przy takiej rzeczywistości, jaka powinna być, a nie takiej, jaka jest. Natomiast pożądanie wykracza poza materialną rzeczywistość i przekształca ją we własne obrazy, które – tak długo, jak długo trwa pożądanie – wydają się oazą rozkoszy, ale gdy tylko pożądanie wygasa, przybierają bardziej neutralne kształty. Dla mnie te wszystkie trzy poziomy rzeczywistości spotykają się w żeńskich organach płciowych, z ich podwójnymi wargami; nie na darmo słowo „srom”

dawniej oznaczało wstyd. Często czuję dziką chęć, by wsunąć język między te dwie pachnące lekko moczem fałdy, pomarszczone jak skóra słonia, lecz nieskończenie bardziej miękkie. Kiedy wydzielina zmiękczy je tak, że wydają się niemal płynne, nabieram ochoty, by przycisnąć do nich całą twarz, pozwolić, żeby nos się między nie wślizgnął, ssać je i lizać. Kiedy siedzę przy biurku i to piszę, takie zachowanie wydaje mi się obce i dalece niepożądane, ponieważ mocz, kał i kanały, którymi się wydostają, są czymś, od czego zwykle wolę trzymać z daleka zarówno swoje myśli, jak i twarz. I cieszę się, że nigdy nie widziałem samego siebie z zewnątrz w takiej sytuacji – bo do czego jestem wtedy podobny, jeśli nie do zwierzęcia, które w niekontrolowany sposób mlaszcze i siorbie? Ale gdy po zakończonym stosunku kładziemy się na plecy i patrzymy w sufit albo na siebie, czujemy się tak, jakbyśmy wrócili z podróży. Przykrywamy się kołdrą i znowu zwracamy uwagę na nasze twarze, na to, co znane i bezpieczne w naszych oczach, które są zwierciadłem duszy i rozświełają naszą osobowość, i znowu współżycie kobiety z mężczyzną staje się czymś świętym i wzniosłym.

Łóżka

Ze swoimi czterema nogami i płaską, miękką powierzchnią łóżko wychodzi naprzeciw jednej z naszych najbardziej podstawowych potrzeb: dobrze jest położyć się do łóżka i dobrze spać na nim w nocy. Stoi w sypialni, zwykle najdalej położonym pokoju w domu lub mieszkaniu, a w budynkach dwupiętrowych urządzonym najczęściej na najwyższej kondygnacji. Dzieje się tak dlatego, że nigdy nie jesteśmy tak słabi i bezradni, jak wtedy, gdy śpimy; nocą leżymy w łóżku zupełnie bezbronni, nie wiedząc nic o otaczającym nas świecie. Usuwanie się z widoku, chowanie przed innymi ludźmi i zwierzętami jest głęboko zakorzenionym instynktem. Łóżko jest również miejscem, do którego się zwracamy, by zapewnić sobie spokój, ponieważ większość z nas potrzebuje wyciszenia i samotności, by móc zasnąć. Tym samym łóżko stanowi kryjówkę, ale że wszyscy je mają, kryjówka nie jest związana z tajemnicą, lecz z pewnego rodzaju dyskrecją. Rzadko myślimy o tym, jak radykalnymi pojęciami w naszym życiu są łóżko, sypialnia i sen, ponieważ przesiąkły życiowym przyzwyczajeniem i właśnie dlatego zawsze łączą się z dyskrecją. Gdyby jednak można było zobaczyć wszystkich, którzy położyli się nocą do swoich łóżek w jednej ze światowych metropolii, na przykład w Londynie, Nowym Jorku czy Tokio – wyobraźmy sobie, że ich domy są ze szkła, a sypialnie jasno oświetlone – widok byłby wstrząsający. Wszędzie leżeliby ludzie, nieruchomi w swoich kokonach, w wielokilometrowych łańcuchach pokoi – i to nie tylko na planie ulic, wzdłuż dróg i skrzyżowań, lecz także wysoko w powietrzu – oddzieleni sufitami, niektórzy z nich dwadzieścia metrów nad ziemią, inni pięćdziesiąt, jeszcze inni sto. Zobaczylibyśmy miliony zastygłych w bezruchu ludzi, którzy usunęli się z widoku innych osób, by przeleżeć w śpiączce całą noc. Dostrzeglibyśmy oszałamiające połączenie snu z prehistorią, nie tylko z pierwszym ludzkim bytem na równinach Afryki trzysta tysięcy lat temu, lecz z życiem w swojej najwcześniejszej formie, gdy wyszło na ląd czterysta milionów lat temu. A łóżka nie byłyby już jedynie meblami w sypialni, przywiezionymi ze sklepu, lecz łódkami, do których wszyscy ludzie wsiadaliby każdego wieczoru, by dać się przewieźć przez noc.

Palce

Gdy to piszę, Linda i Christina siedzą i piją kawę przy stoliku, który stoi tuż przy ścianie domu po drugiej stronie trawnika, jakieś dwanaście metrów dalej. Jest chłodny poranek, obie mają na sobie grube kurtki, jedyne odkryte części ich ciał to twarze i ręce. W jednej chwili patrzą na siebie z dużą zażyłością i się uśmiechają, w następnej ich spojrzenia mijają się, a dłonie sięgają po filiżankę kawy, każda po swoją. Kobiety unoszą je do ust, piją, a potem odstawiają filiżanki na stół z kutego żelaza. Christina ziewa, Linda zbliża dłoń do twarzy, jakby chciała osłonić wzrok przed nisko zawieszonym, zimnym słońcem, i mówi coś do Christiny. Nie wiem, co mówi, ale widzę, że jej wargi się poruszają, a potem Christina kiwa głową. Trzyma ręce na kolanach, palce są rozpostarte, niebieski materiał spodni prześwituje między nimi. Jestem z Lindą od dwunastu lat i równie długo znam Christinę. Gdy na nie patrzę, wydaje mi się, że moje spojrzenie przez cały czas obiera za punkt wyjścia to, kim są dla mnie w ujęciu całościowym, jako niekwestionowane jednostki (ale nie niezmiennie), by przejść do szczegółów, na przykład do twarzy, oczu, dłoni czy palców. To, że chodzi o palce Lindy lub Christiny, nigdy nie znika ze świadomości, jak w przypadku metonimii, gdy jakaś część w danej chwili reprezentuje całość. Gdyby tak nie było, każdego człowieka postrzegalibyśmy jako kakofonię części ciała, narządów i ruchów, która produkowałaby nieskończony strumień różnych nastrojów, zdań i wyrażań, a my chodzilibyśmy wiecznie zdezorientowani. Samych siebie rozumiemy w podobny sposób, jako autonomiczne jednostki, a jednak różnica w postrzeganiu jest ogromna, ponieważ jednostka, w której niejako zawieramy innych ludzi, nie jest pojęciem zewnętrznym, lecz wewnętrznym. Oznacza to, że inni ludzie znajdują się w e w n a t r z nas, tuż obok tego, czym jesteśmy dla samych siebie, a ponieważ w świecie myśli i uczuć nie istnieją grodzie ani ściany, nie jest rzeczą nierozsądną wyobrazić sobie, że te wszystkie jednostki – co dotyczy nie tylko ludzi, ale także drzew, stołów, rowerów, domów, równin, jezior, kotów, filiżanek, telefonów i latarek, by wymienić tylko kilka przykładów, które jako pierwsze przyszły mi do głowy – również są częściami naszej osobowości, częściami tego, kim jesteśmy, i mają się podobnie do tożsamości, jak palce Christiny do Christiny jako osoby.

Z moimi własnymi palcami sprawa przedstawia się inaczej. Kiedy na nie patrzę, nie mogę w żaden sposób powiązać ich z tym, kim jestem. Kiedy zginam je razem w kierunku środka dłoni, widzę czterech braci, którzy są do siebie podobni i trzymają się razem, i ich ojca, grubszego, silniejszego, który zawsze zachowuje pewien dystans wobec synów. Ich twarze, to znaczy paznokcie, są gładkie jak szyby w oknach i dlatego niosą w sobie obietnicę, że można przez nie patrzeć, chociaż nie można – ich szarobiałe kolor jest nieprzenikniony: wyglądają jak

niewidomi ludzie.

Kiedy odwracam dłoń i ją prostuję, palce przypominają macki albo małe węże, z paznokciami jak głowy, zmierzające każdy w swoją stronę.

Gdy dzieci były małe, często bawiłem się z nimi tak, że moje dwa palce spacerowały w ich stronę, zatrzymywały się, podnosiły jedną „stopę” i zginały ją, jakby w pozdrowieniu, a ja piszczącym głosem mówiłem „hallo, hallo!”. Nazwałem to stworzenie Panem Paluszkim. Dla nich to była magia, połączenie palców ze mną znikало w tym samym momencie, gdy palce zaczynały wędrować i stawały się odrębnym bytem, niezależnym stworem, który chodził po stole i zatrzymywał się, żeby je pozdrowić. Lubiły tę zabawę, uśmiechały się, a kiedy Pan Paluszek biegł w ich stronę, przeskakiwał przepaść między stołem a krzesłem, lądował na ich brzuchu i skradał się w kierunku szyi, żeby je połaskotać, piszczały z radości.

Kiedy czasem wracam do tej zabawy, jedna z moich córek robi się niespokojna. Niedługo skończy dziesięć lat i jest tak charakterna i wrażliwa, jak potrafią być tylko dzieci w jej wieku. Kiedy widzi, że Pan Paluszek wstaje i zaczyna iść po stole, mówi: „Tato, przestań!”. Jeśli nie przestaje, córka zrywa się z krzesła, mówiąc: „Nie chcę!”. Śmieje się, ponieważ wie, że to jest głupie i dziecinne, ale jednocześnie jest poważnie zaniepokojona, widzę to w jej oczach i słyszę w jej głosie. Myślę, że reaguje tak, ponieważ po raz pierwszy zaczęła stawiać sobie pytanie o to, kim jest, a co za tym idzie – kim my jesteśmy, jej rodzice i rodzina. Pan Paluszek przemienia mnie w części ciała, a części ciała w niezależne stworzenia, a ponieważ to, że rzeczywistość jest odwrócona i pozbawiona połączeń niczym ślepe oko, stanowi jedną z wielu możliwych prawd, zabawa w Pana Paluszka sprawia, że otwiera się przepaść. Pozostałe dzieci są za małe, by czuć zagrożenie, ja jestem za stary. Tę otchłań w środku świata widzą tylko ci, którzy są w połowie drogi między byciem dzieckiem i dorosłym.

Liście

Liście kasztanowca spadły na kamienistą dróżkę, która tylko tu i ówdzie jest widoczna. Wierzba również zaczęła gubić liście i trzeba ją przyciąć, bo szybko osiąga monstrualne rozmiary. Przerzedziła się także korona jabłoni, chociaż wciąż wiszą na niej jabłka przypominające małe czerwone latarnie wśród nagich gałęzi. Zjadłem dzisiaj jedno z nich, są wielkie, bardziej czerwone niż zielone, i soczyste, choć może trochę zbyt kwaśne, chyba powinny wisieć na drzewie jeszcze z tydzień. Chodziłem po trawie, bujnej, miękkiej i zielonej, czując kwaskowaty smak w ustach, i myślałem o smakach różnych gatunków jabłek i o wieku tych smaków. Kiedy je skrzyżowano? W dziewiętnastym wieku? Dwudziestym? Niektóre z obecnych smaków są identyczne z tymi, które istniały dwa tysiące lat temu. Ten niecodzienny, niezwykle aromat, z którym można się spotkać, jedząc jabłko z prywatnej uprawy, sprawia mi radość. W takich chwilach myślę o mojej babci, o jabłkach z jej ogrodu; dostawaliśmy je od niej jesienią, czasem całą skrzynkę, która leżała potem w piwnicy przez następne tygodnie. Tak, zapach piwnicy moich dziadków, zapach jabłek i śliwek. Babcia interesowała się wszystkim, co miało związek z uprawą roślin i ogrodnictwem. Jej syn, mój ojciec, dzielił z nią tę pasję. Ja natomiast nie czuję żadnej kontynuacji, gdy myślę o nich w ten sposób, są mi obcy. I dobrze mi z tym. Czuję, że zacząłem coś nowego, coś zupełnie innego, a tym czymś jest moja obecna rodzina. Myślę o tym każdego dnia, że liczy się to, co teraz, że właśnie teraz, w ciągu tych lat, dzieją się najważniejsze rzeczy. Moje wcześniejsze życie staje się coraz bardziej odległe. Nie wracam już myślami do czasów dzieciństwa. Nie wracam myślami do czasu studiów, gdy miałem dwadzieścia lat. Wszystko to jest daleko, daleko za mną. I potrafię sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało moje życie, kiedy to, co dzieje się teraz, przeminie, kiedy dzieci wyprowadzą się z domu – myśl, że właśnie wtedy działy się ważne rzeczy, że właśnie wtedy żyłem. Dlaczego nie doceniałem tego, gdy to miałem? Ponieważ wtedy, tak myślę, wcale tego nie miałem. Tylko to, co wycieka przez palce, tylko to, czego nie sposób wyrazić słowami, ubrać w myśli, tylko to w pełni istnieje. Taka jest cena bliskości: człowiek tego nie widzi. Nie wie, że to jest to. A gdy to się kończy, wtedy to dostrzega.

Żółtoczerwone liście, które leżą, miękkie i gładkie, na kamieniach między domami. To, że kamienie ciemnieją, gdy pada deszcz, i jaśnieją, wysychając.

Butelki

Chociaż podstawowy kształt butelki jest zawsze taki sam – gładkie walcowate ciało zwężające się ku górze – jego fizjonomia jest zaskakująco wieloraka. Między kanciastą butelką o krótkiej szyjce a smukłą o długiej szyjce mieści się nieskończoność wariantów. W butelkach przechowuje się płyny, najczęściej te, które pijemy – te nienadające się do picia, na przykład perfumy, benzyna, farba, są przechowywane we flakonach, beczkach i puszkach – i jak to się ma z większością form, kształt butelek prawie zupełnie usuwa się w cień na rzecz zawartości, która jest tym, co widzimy, o czym myślimy i jakie mamy z nim skojarzenia: winem, piwem, wódką, oranżadą. To, że butelka sama w sobie jest prawie niewidzialna, że myśli, które towarzyszą spojrzeniu, prawie nigdy się na niej nie zatrzymują, jest zadziwiające, bo to jednak zawsze butelka decyduje o tym, co myślimy na temat jej zawartości. Niewiele substancji jest mniej zróżnicowanych od cieczy, i nikt nie jest w stanie rozpoznać gatunku piwa, kiedy znajduje się ono w dużych beczkach lub kadziach; dopiero gdy zostanie rozlane do butelek, zyskuje tożsamość, staje się tym, o czym myślimy, natomiast to, co pośredniczy w przekazaniu tożsamości, butelka, jej szczególny kształt i kolor, znika. W literaturze to zjawisko jest ideałem, forma ma charakteryzować tekst, ale nie zajmować czołowego miejsca, to uczucia i myśli, które wzbudza, są najważniejsze, natomiast tekst sam w sobie powinien być zimny i przejrzysty jak szkło. Inną charakterystyczną cechą butelek jest to, że produkuje się je masowo. Całe ich palety są rozwożone z central produkcyjnych do miejsc sprzedaży, skąd trafiają do gospodarstw domowych; są tak zwyczajne, że trudno wyobrazić sobie dom bez nich. Gdy byłem mały, myślałem o butelkach jak o braciach, i jeśli na stole stała pojedyncza butelka – na przykład ta brązowa litrowa z browaru Arendal, z charakterystyczną żółtą etykietą ze statkiem pod pełnymi żaglami – było mi jej żal; jednocześnie cieszyłem się za każdym razem, gdy stała z dwoma lub trzema wesołymi braćmi lub w skrzynce w piwnicy razem z całą bandą, jakby śpiąc. Ale chociaż butelki były identyczne, miały różne znaczenie. W domu, na stole w salonie oznaczały radość, to, że tata pozwolił sobie na coś wyjątkowego, natomiast na zewnątrz, w rękach młodzieży, kojarzyły się z czymś zakazanym i złym, a w rękach dorosłych z alkoholizmem, który był okropny, chociaż dokładnie nie wiedziałem dlaczego, poza tym, że wiązał się z gwałtowną utratą godności. W naszym sąsiedztwie mieszkał kiedyś pijak, w jednym z domów, które stały tam, zanim dzielnica zaczęła się rozbudowywać. Nie wiedzieliśmy o nim nic więcej. Pewnego dnia prowadził rower, a na kierownicy miał zawieszony dwie białe reklamówki. Podbiegłem do niego, podburzony przez kolegów. W pośpiechu rozchyliłem plastikowe rączki jednej z siatek i zajrzałem do środka. „Jest pełna

piwa!”, krzyknąłem i rzuciłem się pędem do ucieczki. „W torbie ma piwo!”, powtórzyłem. Pozostali zaczęli wołać: „Egge pijak! Egge pijak!”. Mężczyzna wsiał na rower i pojechał dalej, z trudem panując nad kierownicą z powodu dyndających reklamówek. Wciąż pamiętam uczucie, które mnie ogarnęło, gdy krzyknąłem do kolegów, bo w siatce wcale nie było piwa, tylko chleb i mleko. Pamiętam poczucie bezpieczeństwa, które dawała myśl, że prawda nie ma żadnego znaczenia, że mogłem skłamać, bo przecież to był tylko pijak.

Ściernisko

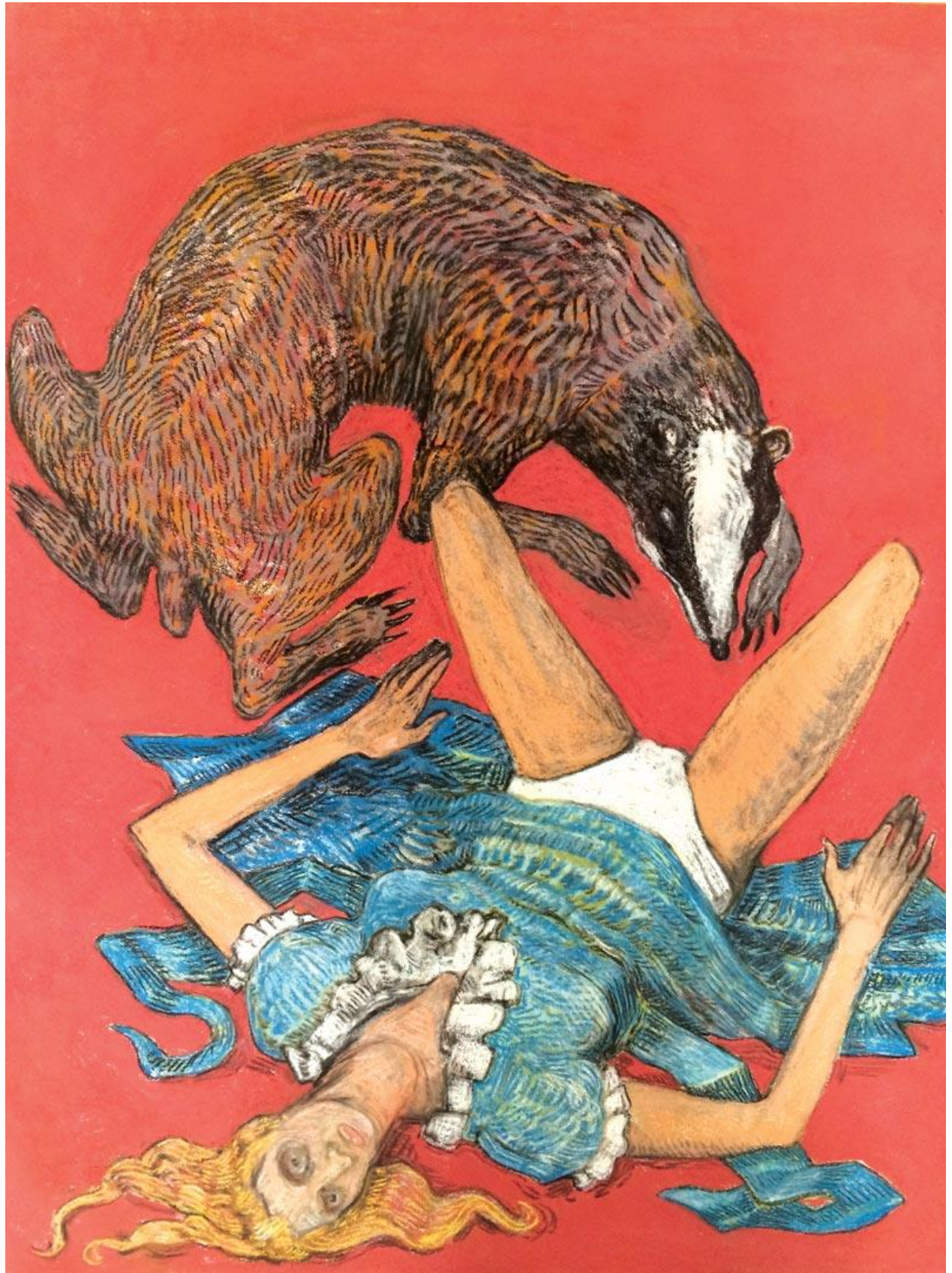
Jak to możliwe, że nie jesteśmy bardziej podekscytowani, kiedy okrążamy róg domu w nieznanym mieście? Przecież wszystko może nas tam spotkać! To zdziwienie wyraża w swoim *Dzienniku* Witold Gombrowicz. To, co nieznanne, i to, co niepewne, to, o czym nic nie wiemy, należy nie tylko do metafizyki, dotyczy nie tylko wielkich pytań czy istnieje jakiś Bóg lub co czeka nas po śmierci, lecz również tych najzwyczajniejszych, codziennych. Piszący *Dziennik* Gombrowicz nie miał dzieci, a nawet gdyby miał, nie jest wcale pewne, czy to wpłynęłoby na jego światopogląd, tak jak nie jest pewne, czy dzieci mają wpływ na to, że bierzemy świat za pewnik, ale dla mnie to były dwa zupełnie różne doświadczenia: czytać *Dziennik* Gombrowicza jako mężczyzna bezdzietny i jako ojciec. Ponieważ tym, co najistotniejsze w wychowaniu dziecka albo w życiu z dziećmi, jest troska, by czuły, że świat jest przewidywalny, rozpoznawalny, możliwy do ogarnięcia. Najgorsza dla dziecka jest niepewność, kiedy nie wie, co je czeka, albo ma przeczucie, że wszystko może je spotkać. To dlatego płacze, kiedy Święty Mikołaj w masce pojawia się w domu w wigilię Bożego Narodzenia. Strach przed tym, co nieznanne lub nieprzewidywalne, jest czymś głęboko zakorzenionym, oczywiście dlatego, że dawniej czyhało na nas wiele niebezpieczeństw, i w związku z tym wychodzi mu naprzeciw równie głęboko zakorzeniony wysiłek, by zneutralizować to, co nieznanne. Niemowlę uspokaja się dzięki powtórzeniom, dwunastolatek potrzebuje czegoś stałego i niezmiennego, gdy świat zewnętrzny otwiera się przed nim w sposób niekontrolowany. Kiedy więc czterdziestolatek wychodzi za róg domu, przekonanie, że wszystko będzie takie jak zawsze, jest w nim tak głęboko zakorzenione, że staje się samą naturą rzeczywistości, a nie tylko wyobrażeniem o niej.

Gdy Olav H. Hauge pisał, że da się żyć dniem codziennym, musiał mieć właśnie to na myśli. Ale u niego wynikało to z rezygnacji, bo chociaż to, co dla niego fantastyczne, wiązało się z szaleństwem i skutkowało kaftanem bezpieczeństwa, farmakoterapią i monotonną rutyną zakładu zamkniętego, czasem w postaci wieloletnich pobytów, to wartość tego, co fantastyczne, była ogromna, ponieważ dawała nie tylko poczucie, lecz także pewność, że istnieje inny wymiar rzeczywistości, który wiąże się z zupełnie inną intensywnością życia.

Dla mnie to tylko teoria. Czytam wczesne wiersze Haugego i myślę, że były utrzymywaną w cuglach formą ekstazy, sposobem na jej uziemienie, natomiast jego ostatnie wiersze, które w *Dzienniku* z lekką pogardą nazywa kutymi na zimno, są zupełnie pozbawione kontaktu z tym wymiarem. We wczesnej twórczości Hauge starał się wygasić ekstazę, która przychodziła z góry, w ostatnich zaś wierszach próbował przywołać ją od dołu, środkami, które miał wówczas do dyspozycji,

ptakami i jabłkami, śniegiem i siekierą. Bez rezultatu. Rzeczy i zwierzęta pozostały w tym, co namacalne, choć niedokładnie takie jak wcześniej, ponieważ po spojrzeniach i słowach Haugego lekko się żarzą.

Dotąd, nie dalej, myślę, wioząc dzieci do i ze szkoły i widząc bladobrazowe rżysko ciągnące się wzdłuż drogi, bo również ono może od czasu do czasu żarzyć się lekko, gdy pada na nie jaskrawożółte światło wiszącego nisko jesiennego słońca. Jednak zwykle jest na odwrót, to ściernisko pochłania światło, tak jak cały tutejszy krajobraz robi to jesienią, gdy leży blady i przesiąknięty wodą pod bezbarwnym, słabo oświetlonym niebem. Chociaż kiedy krajobraz się kurczy, jak to się dzieje wtedy, gdy dużo różnych zdarzeń wskazuje ten sam kierunek – wieje wiatr, pada deszcz, samochód jedzie pod górę, na lewo ściernisko, na prawo pole, niebo niebieskawe, światło skąpe, widok na morze zarośnięty mgłą, kierowca przechyla się do przodu, żeby lepiej widzieć przez drżącą od deszczu przednią szybę, i nagle tuż obok przelatuje sokół, z rozpostartymi szeroko skrzydłami – wtedy krajobraz jest po prostu sobą, a doznane przez kierowcę kilkusekundowe uczucie oszałamiającej intensywności życia nie wynika z tego, że coś się otwiera, lecz wręcz przeciwnie: że coś gęstnieje. Następujący po nim żal, że to już wszystko, jest tym, co Gombrowicz, który nie cierpiał wzniosłych słów, rozwiewa w rozważaniach o rzeczach małych.



. Borsuki

Można by sądzić, że borsuk – ze swoim charakterystycznym czarno-białym pyskiem, który stanowi ewenement w faunie Skandynawii, i szerokim, nieco spłaszczonym ciałem – powinien budzić wystarczająco duże zainteresowanie, by opowiadano o nim historie. Można by sądzić, że spotkanie z borsukiem to coś wyjątkowego. Ale tak nie jest. Podczas gdy niedźwiedź, lis i wilk zajmują zaszczytne miejsce w mitologii ludowej, o borsuku prawie się nie wspomina. Tym samym nie przypisuje mu się żadnych ludzkich cech; borsuk nie jest ani dobroduszny, ani przebiegły, ani naiwny, ani zły, ale sprawia wrażenie roztargnionego i stosującego uniki. Jaki właściwie jest borsuk? Z wyglądu przypomina nieco kunę, a do niedźwiedzia jest podobny w tym, że zapada w sen zimowy. Żyje w klanach liczących od dziesięciu do piętnastu członków, najczęściej w gęstych lasach, często w pobliżu otwartych pól, gdzie nocą zdobywa pokarm. Borsuk jest blisko związany z ziemią; drąży systemy nor, które czasem są w użyciu przez setki lat. W norze borsuk śpi za dnia i przesypia w niej całą zimę. Również w ziemi znajduje znaczną część swojego pożywienia, szczególnie chętnie zjada dżdżownice. To, że borsuk nie ma swojego miejsca w kulturze, sprawia, że możemy przyjrzeć się, co kultura robi z innymi zwierzętami, które w pewnym sensie schwytałismy, które znamy i którymi zaludniamy opowiadania pisane z myślą o naszych dzieciach. Borsuk żyje poza tym wszystkim, wygląda na to, że mu się upiekło, i kiedy stoi na skraju lasu i patrzy na nas, choć my o tym nie wiemy, jego spojrzenie jest takie jak wszystkich innych dzikich zwierząt: bystre, czujne, myślące w sposób, którego nie rozumiemy. Jego świat tworzy to, co niskie. Ściółka leśna, którą borsuk niemal zamiata swoim przysadzistym ciałem, i ziemia, w którą wpycha pysk i łapy i przez którą przeciska się w dół, do jednej z nor wypełnionej ciemnymi zapachami ziemi, by przespać w niej długie zimowe miesiące. Ja sam widziałem borsuki tylko kilka razy, zawsze w tym samym miejscu, przed domem, w którym mieszkałem jako nastolatek. Dom stał na skraju lasu, z widokiem na pole i rzekę: wprost wymarzone miejsce dla borsuków. Był to gęsty las mieszany, trudny do przebycia, przez który, w odległości jakichś dwudziestu metrów od domu, przepływał strumyk wpadający później do rzeki. Chodziłem wtedy na skróty: od drogi, przez las, wzdłuż strumienia. Pewnego wieczoru, gdy wracałem do domu – było lato i jasne niebo – zobaczyłem borsuka idącego drogą z nosem przy ziemi. Słyszałem, że borsuki potrafią przegryźć człowiekowi nogę, więc z bijącym sercem wskoczyłem na krawężnik. Zwierzę zatrzymało się i spojrzało na mnie. Widziałem wyraźnie, że stara się ocenić, czy może przejść obok mnie. A ponieważ nie mógł, odwrócił się i węsząc, ruszył z powrotem; po chwili zniknął w pobliżu strumienia. Tamtego lata pracowałem

w lokalnej stacji radiowej i jeździłem autobusem do i z miasta, dzięki czemu kilka razy w tygodniu szedłem tą samą drogą w tym samym czasie. Najwyraźniej borsuk również miał swoje przyzwyczajenia, ponieważ spotykałem go wiele razy – jeśli założyć, że to był ten sam borsuk. Czasem słyszałem, jak się zbliża, szeleszcząc, wtedy ustępowałem z drogi i śledziłem go przez chwilę. Nie patrzył na mnie, tylko wychodził na drogę i ciągle wężąc, szedł dalej. Tylko my dwaj w niemym porozumieniu. Życzyłem mu jak najlepiej. Kiedy teraz jadę autostradą do Malmö i widzę jedno z tych pięknych zwierząt o czarno-białym pysku leżące nieruchomo w kałuży krwi na asfalcie, ogarniają mnie niema wściekłość i bezradność, ponieważ tym, co je zabiło, są zmiany, do których ja również się przyczyniam i z którymi jest mi tak wygodnie, że nie chcę z nich zrezygnować. Ale nawet gdybym to zrobił, gdybym przestał jeździć samochodem, nie miałyby to na nic wpływu: ani na wzrost temperatury na świecie, ani na martwe zwierzęta na drodze. To jest grzech pierworodny, wszyscy go popełniamy i wszyscy razem musimy się z niego wyzwolić.

Niemowlęta

Trzymanie niemowlęcia blisko ciała jest jedną z wielkich radości życia, może nawet największą. Zwłaszcza wtedy, gdy noworodek jest tak mały, że dłonie dorosłej osoby są w stanie przykryć niemal w całości jego ciało, gdy jego spojrzenie zdaje się pływać i tylko wyjątkowo zatrzymuje się na jakimś elemencie otoczenia, i człowiek czuje, że to, co wiąże się z obecnością w świecie, prawie wyłącznie dotyczy doznań zmysłowych: ciepło i miękkość ciała, do którego zawsze chętnie przytula się noworodek, letnie mleko wypełniające brzuch, sen, który tak cudownie obezwładnia niemal przez całą dobę. W opiece nad noworodkiem chodzi głównie o to, by niwelować różnice między nim a otoczeniem, dbać, aby wszystko było ciepłe, bliskie, miękkie. Nagły spadek temperatury otwiera przepaść między noworodkiem a rzeczywistością, to samo dotyczy głośnych dźwięków i gwałtownych ruchów, które wywołują płacz dziecka.

Spełnianie tych prostych wymagań jest prawdziwą rozkoszą, ponieważ są proste, ponieważ wiążą się z interakcją, rytmem, piosenką i ponieważ bliskość, która jest niezbędna, spełnia życzenie, które jest niemal jak żądanie: chronić, dawać, troszczyć się. Dla mnie, mężczyzny, trzymanie dziecka blisko ciała jest jedyną formą fizycznej bliskości, która nie ma podłoża seksualnego. Jak to jest u kobiet, nie wiem, ale chyba nie będzie zbyt śmiałym stwierdzenie, że jest inaczej. Może właśnie dlatego mężczyzna musi być bardzo męski, żeby nie stać się kobietą, gdy żyje w symbiotycznym związku z noworodkiem.

Gdy niemowlę podраста i zbliża się do swoich pierwszych urodzin, wszystko się zmienia, poza radością z trzymania dziecka w ramionach. Dzieje się to rzadziej, bo w tym czasie wymagane jest coś odwrotnego: dziecko musi – i chce – doświadczyć przepaści między sobą a światem. Raczkuje po podłodze, ma określone stacje, które bada: tu jakiś przewód, tam stojak na buty, gdzie indziej odkurzacz; podczas posiłków szuka kontaktu wzrokowego z pozostałymi członkami rodziny, śmieje się, kiedy inni się śmieją, macha ręką, kiedy inni machają. Ma bystre spojrzenie, czasem nawet przebiegłe, często radosne. Wiele słów krążących wokół niemowlęcia jest już od dawna zapisanych i zidentyfikowanych, ale nadal niemożliwych do użycia, na razie leżą w magazynie. To samo dotyczy przyszłych kroków. Najpierw trzyma się nogi od stołu i powoli wstaje, potem stoi, a już wkrótce, z sercem wypełnionym zdziwieniem, napięciem, strachem i radością, stawia pierwsze kroki. Wystarczy jednak, by niemowlak eksplorował świat na własną rękę dość długo, może tylko przez dziesięć minut, może przez całe trzydzieści, a będzie chciał wrócić do bliskości, do dorosłego ciała, które uniesie go i weźmie w ramiona. A kiedy dziecko przytuli głowę do jego piersi w geście całkowitego zaufania, dorosłego

ogarniają natychmiast wyjątkowo dobre uczucia. Dlaczego? Chyba nie chodzi o to, że stajemy bezradni wobec bezbronności niemowlęcia; to, co trafia nas prosto w serce, to jego niewinność. Bo przecież wiemy, ile bólu zada mu świat, wiemy, jak skomplikowane potrafi być życie, i że w przyszłości dziecko wykształci całą serię mechanizmów obronnych, strategii uników i metod przetrwania w tej zawilej interakcji z otoczeniem społecznym, którą niesie ze sobą pełnowartościowe życie, na dobre i na złe. Wszystko to jest kompletnie obce niemowlęciu; radość tryskająca z jego oczu jest niczym niezmacona, a dorosłe ciało, w które wtula głowę, to nadal najbezpieczniejsze miejsce, jakie zna.

Samochody

Długo myślałem, że nie jestem typem, który jeździ samochodem, że nie potrafię prowadzić, że moją siłą są zdania i abstrakcje, obrazy i myśli, natomiast wszystko, co wymaga użycia dłoni i stóp, pedałów i dźwigni zmiany biegów, jest poza moim zasięgiem. Jeden z powtarzających się w tamtych czasach koszmarów: jadę samochodem bez prawa jazdy; budziłem się z tym samym lękiem, który ogarniał mnie, gdy śniło mi się, że zabiłem kogoś albo zdradziłem żonę. Prawo jazdy zrobiłem w wieku trzydziestu dziewięciu lat i przez cały pierwszy rok czułem, że moja jazda, zwłaszcza po autostradzie, jest przekraczaniem granic. Gdy w niedzielne popołudnie oddawałem kluczyki pracownikowi firmy wypożyczającej auta, zawsze czułem niepokój podobny do tego, który odczuwam, gdy dzień wcześniej się napiję. Przypuszczam, że w ten sposób aktywował się protestancki odruch, że każda wolność ma swoją cenę; w moim przypadku był nią lęk. Dla mojej matki, po której odziedziczyłem ten protestancki odruch, prowadzenie samochodu nie jest obarczone winą, prawdopodobnie dlatego, że bezpośrednio wiąże się z jej etyką pracy; od bez mała pięćdziesięciu lat każdego dnia jeździ samochodem do pracy i z pracy, w pocie czoła. Dla mojego ojca protestanckość wiązała się prawdopodobnie z dostojeństwem mojej matki; a to, że ojciec zawsze jeździł szybko, zawsze wyprzedzał inne samochody i nigdy nie bał się ryzykować, było próbą pominięcia wszystkich zasad, zakazów, obowiązków i form nadzoru w jego świecie. Jeśli chodzi o politykę, wyznawał liberalizm, opowiadał się za wolnością jednostki i przeciwko silnemu państwu, matka natomiast była za silnym państwem i solidarnością ze słabszymi. Czy muszę dodawać, że matka zawsze jeździ powoli i ostrożnie? Ja sam kupiłem pierwszy samochód cztery lata temu, białego volkswagena multivana, którym wciąż jeżdżę. Jest duży i ciężki, ma niewielki silnik i długo się rozpędza. Mimo to bardzo go lubię, liczy siedem foteli i jest przestronny. W ciągu pierwszego roku stuknąłem go i porysowałem trzy razy, zanim nauczyłem się parkować w ciasnych miejscach. Lęk przed przekraczaniem granic zniknął, teraz jeżdżę ze spokojnym sumieniem, może dlatego, że jazda samochodem nie wiąże się już z wolnością, lecz z przyzwyczajeniem i wygodą. Jeżdżę szybko, ale nie bardzo szybko, i nigdy nie ryzykuję. Podczas jazdy najbardziej lubię rozmawiać z dziećmi, bo gdy mijamy otwarty krajobraz, powstaje między nami przestrzeń, mam wrażenie, że w samochodzie znika dystans między tym, co myślą, a tym, co mówią, i że potrafią rozmawiać ze mną na każdy temat. Gdy jednocześnie potężne masywy chmur wiszą nieruchomo na błękitnym niebie daleko na horyzoncie lub gdy deszcz uderza o przednią szybę, tworząc nieregularne wzory, w następnej chwili zmywane przez wycieraczki, ogarnia mnie szczęście. Szczególnie intensywne potrafi być w jesienne popołudnia, w lesie rosnącym

wzdłuż brzegu morza, w długim i prostym pasażu między drzewami, bezlistnymi i rozcapierzonymi, gdy o zmierzchu samochody jadą w naszą stronę, z zapalonymi reflektorami, ciemnymi szybami i błyszczącą karoserią, pod którą płonie archaiczny ogień.

Samotność

Dobrze jest być samemu. Dobrze jest zamknąć za sobą drzwi i przez chwilę побыć bez ludzi. Nie zawsze tak było. W dzieciństwie odczuwałem samotność jako błąd lub brak, często bolesny. Człowiek był sam, ponieważ nikt nie chciał z nim przebywać, albo dlatego, że nie było nikogo, kto mógłby dotrzymać mu towarzystwa. Nieobecność innych ludzi była czymś bezwarunkowo negatywnym. W grupie było raźniej, samemu źle, taka była zasada. Mimo to nigdy nie zastanawiałem się nad tym, jak to jest z moim ojcem, który często bywał sam. Ojciec był suwerennym stworzeniem, wszystko w nim było takie, jak powinno. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że również jego samotność może być wynikiem błędu lub braku, często bolesnego. Nie miał żadnych przyjaciół, tylko kolegów, i większość wieczorów spędzał sam w salonie w piwnicy, gdzie słuchał muzyki albo zajmował się kolekcją znaczków. Unikał sytuacji związanych z bliskością obcych ludzi, nigdy nie jeździł autobusem, nigdy nie ścinał włosów w salonie fryzjerskim, nigdy nie należał do tych rodziców, którzy zawożą całe bandy dzieciaków na mecz piłki nożnej. Wtedy nie zwracałem na to uwagi. Dopiero gdy zmarł i znaleźliśmy jego pamiętnik, spojrzałem na jego życie pod tym kątem. Interesował się samotnością, często o niej rozmyślał. „Zawsze umiałem rozpoznać samotnych ludzi”, pisał w swoim dzienniku. „Chodzą inaczej niż inni. Zupełnie jakby nie było w nich żadnej radości, żadnej iskry, bez względu na to, czy są kobietami, czy mężczyznami”. W innym miejscu napisał: „Szukam słowa, które byłoby antonimem samotności. Chciałbym znaleźć inne słowo niż miłość, które jest zbyt wyświechtane i niewystarczające. Czułość, spokój ducha i umysłu, wspólnota?”. Wspólnota to dobre słowo. To przeciwieństwo samotności. Dlaczego jej nie czuł, nie wiem. To jedno z tych dobrych uczuć w życiu, może najlepsze. A jednak często zachowuję się tak jak on, zamykam za sobą drzwi i jestem sam. Wiem, dlaczego to robię, dobrze jest być samemu, przez kilka godzin znajdować się poza tymi wszystkimi skomplikowanymi więziami i oczekiwaniami, chęciami i pragnieniami, które powstają między ludźmi i które już po krótkim czasie tak się zagęszczają i splatają ze sobą, że zarówno przestrzeń do działania, jak i do refleksji się kurczą. Gdyby wszystko, co dzieje się między ludźmi, wydawało dźwięki, powstałby chór, głośny szum głosów rozchodziłby się nawet z najmniejszego błysku w oczach. On chyba też musiał to czuć. Może silniej ode mnie? Bo zaczął pić, a picie wycisza dźwięki chóru i sprawia, że można przebywać z innymi ludźmi, nie słysząc go. Tak, tak właśnie musiało być, ponieważ ja nigdy nie mógłbym napisać zdania, którym zakończył swoje zapiski: „Krótko mówiąc, to, co tak nieudolnie starałem się wyrazić, to to, że zawsze byłem samotnym mężczyzną”. A może, myślę nagle z przerażeniem, może było na odwrót? Może ojciec wcale nie

słyszał tego chóru, nie doświadczył go i dlatego nie był związany z ludźmi? Może przez całe życie trzymał się na uboczu, widząc, że wszyscy inni są związani czymś, czego on nigdy nie poznał?

Doświadczenie

Wczoraj czytałem książkę, w której szczególnie jedno zdanie przykuło moją uwagę, ponieważ było tak bardzo młode. Narrator pierwszoosobowy wyraża niepokój, że ostatnio ulega intelektualnej stagnacji. Pamiętam, że jako dwudziestolatek też potrafiłem być tym zaniepokojony. Właściwie ze mną było jeszcze gorzej, bo stagnacja zakłada, że wcześniej odbywał się jakiś ruch, tymczasem ja patrzyłem na swoje braki intelektualne i myślowy zastój jak na coś w gruncie rzeczy niezmiennego, jak na cechę charakteru. Czułem strach, gdy nie byłem w stanie pojąć tego, co czytałem, na przykład *Rewolucji w języku poetyckim* Julii Kristevy czy jakiegokolwiek książki Lacana. W pewnym sensie miałem rację, uważając to za defekt i tłumacząc sobie, że wiedza określonego rodzaju, na pewnym poziomie trudności, nie jest dla mnie po prostu dostępna, że jestem za głupi, bo nic się w tej materii nie zmieniło. Gdy tej wiosny leżę i czytam wieczorami biografię Heideggera Safranskiego, nie rozumiem wywodów filozoficznych, nie rozumiem ich sensu, chociaż bardzo się staram. Jeszcze gorzej jest wtedy, gdy czytam to, co napisał sam Heidegger. Chociaż domyślam się, że Heidegger pisze o byciu człowiekiem, którym ja też przecież jestem, więc jego myśli i spostrzeżenia dotyczą również mnie, w niczym mi to nie pomaga; to po prostu nie dla mnie. Gdy miałem dwadzieścia pięć lat, trudno mi było oswoić się z tą prawdą, i nawet jeśli jej nie wyparłem, to na pewno ją wypaczyłem, wmawiając sobie, że niekoniecznie tak jest. W tamtym okresie wiele spraw w życiu rozbijało się o pragnienie, by być kimś, ambicje były ogromne, a ponieważ żądza sławy jest ślepa, życie z nią bywa ograniczone. Chociaż, szczerze mówiąc, uważam, że bycie dwudziestokilkulatkiem naprawdę oznacza bycie ograniczonym. W tym wieku człowiek ma dużo siły i patrzy przed siebie, wpatruje się w to, co ma nadejść, a ze wszystkiego, co znajduje się w jego otoczeniu, najważniejsze jest zawsze to, co niesie w sobie obietnicę. Ale jednocześnie, i to jest właśnie potworne, to spojrzenie skierowane do przodu przez cały czas napotyka ograniczenia charakteru, wciąż rozbija się o poczucie stagnacji – i stąd pojawia się strach przed zastojem intelektualnym. Czterdziestolatek rozumie, że ograniczenia będą trwać do końca życia, ale wie również, że przez cały czas, czy się tego chce, czy nie, czy się jest tego świadomym, czy nie, tworzą się nowe warstwy charakteru, rodzaj wiedzy i poznania, które nie są skierowane do przodu, w stronę tego, co ma nadejść lub co przyniesie dzień, lecz ku temu, co tu i teraz, w tym, co człowiek robi każdego dnia, w tym, co o tym myśli i co z tego rozumie. To jest doświadczenie. Po sile dwudziestolatka nie ma śladu, wola słabnie, ale życie staje się bogatsze. Nie w sensie jakościowym, lecz ilościowym. Kiedy wieczorami czytam napisaną przez Safranskiego biografię Heideggera, nic nie rozumiem z jego filozofii, ale j e g o

rozumiem, w tym sensie, że to, co składało się na jego życie, nie jest obce ani trudne, lecz namacalne i nadające sens. I kiedy rano troje moich dzieci ma wstać, ubrać się, czasem wziąć prysznic, zjeść śniadanie, każde w innym humorze i w innym stadium rozwoju, z różnymi problemami i radościami, sprawienie, by wszystko szło gładko i funkcjonowało jak należy, wymaga wiedzy, której nigdzie nie spisano, której nie można nigdzie wyczytać ani studiować, a którą mają wszyscy rodzice, choć może jej nie doceniają, ponieważ stanowi przeciwieństwo ambicji, nie jest skoncentrowana na sobie ani ograniczona, i bynajmniej nie zwraca się w stronę tego, co ma nadejść, w stronę przyszłego triumfu – dlatego jest prawie niewidoczna. Tak działa doświadczenie, odkłada się warstwa po warstwie wokół ego, przy którym, wraz z pojawianiem się nowych możliwości, coraz trudniej obstawać: mądry wie, że ego samo w sobie jest niczym.

Wszy

Jedna z córek siedzi przede mną z głową lekko pochyloną nad stołem, tuż pod światłem lampy zwisającej z sufitu w jadalni. Czeszę jej włosy specjalnym grzebieniem. Zęby są długie, metalowe i tak gęste, że każdy, nawet najmniejszy pyłek zostaje wyczesany. Za każdym razem po przeciągnięciu grzebienia przez włosy uderzam ząbkami o białą kartkę leżącą na stole. Od czasu do czasu spadają na nią małe czarne kropki. Nie jesteśmy pewni, ale zgadujemy, że to gnidy. Jeśli kropki są duże, wpatrujemy się w nie przez chwilę, żeby sprawdzić, czy się poruszają. „Au!”, woła córka, kiedy grzebień grzęźnie we włosach, a ja próbuję go z nich wyszarpnąć. „Przepraszam, ale musimy to zrobić”, mówię. „Wiem”, odpowiada, „ale chyba nie musisz wyrywać mi włosów?”. „Jasne, że nie”, mówię, stukam grzebieniem o stół i widzę na kartce srebrnawe, lekko zamroczone stworzonko. Insekt robi kilka kroków na bezlitośnie białej powierzchni. „Tata, wesz!”, woła córka. „Widzę”, odpowiadam. „Zabij ją”, ponagla mnie. Umieszczam zewnętrzny ząbek grzebienia na zwierzątku i przyciskam je do kartki. Po wyczesaniu włosów i znalezieniu jeszcze dwóch wszy idziemy do łazienki. Córka zdejmuje sweter, kładę ręcznik na jej ramionach, wyciskam na dłoń preparat na wszy i wmasowuję go w jej włosy i skórę głowy. Kwadrans później stoi pochylona nad wanną z głową pod strumieniem wody z baterii prysznicowej, którą trzymam w ręce, a biała piana spływa w stronę odpływu. Następnie powtarzam całą procedurę z dwójkiem pozostałych dzieci, a na końcu przeprowadzam ją na sobie. Dużo zamieszania jak na tak małe stworzenie. Wesz ma nie więcej niż kilka milimetrów długości i nie wyrządza zbytnej szkody: wysysa tylko trochę krwi i składa kilka jaj. Żyje zaledwie miesiąc, po czym umiera, wysycha i wypada z włosów; jej potomkowie kontynuują rodzinną tradycję i powodują lekkie swędzenie skóry głowy. Jedno pokolenie wstecz i to swędzenie wystarczyło, by poruszyć niebo i ziemię: całą pościel prano w temperaturze dziewięćdziesięciu stopni, wszystkie grzebienie i szczotki gotowano lub wkładano do zamrażalnika, podobnie postępowano z czapkami i szalikami. Wszy były tematem wstydlwym, o którym rozmawiało się wyjątkowo niechętnie. Wstyd przechodził z pokolenia na pokolenie, bo wywodził się z czasów, gdy wszy oznaczały biedę i brak higieny, a poza tym miały w sobie coś zwierzęcego: psiego, bo do sierści psów przyczepia się mnóstwo robactwa, i małpiego, bo małpy nic nie robią, tylko siedzą i się drapią. Gdy trzy lata temu po raz pierwszy przytrafiły nam się wszy, nie wstydziliśmy się, byliśmy nowoczesnymi ludźmi i wiedzieliśmy, że wszy rozpleniają się w szkołach i przedszkolach, zarówno w świeżo umytych włosach, jak i tych niemytych. W Internecie przeczytaliśmy, że wszami można się zarazić wyłącznie przez bezpośredni kontakt z włosami innych osób i dlatego nie jest konieczne ani

gotowanie, ani mrożenie pościeli. Zrozumieliśmy, że chodziło bardziej o symboliczny akt, rodzaj rytuału oczyszczenia. Teraz jednak, kiedy siedzimy wokół stołu i drapiemy się jak małpy, a wszy, które przybywają jesienią, tak się do nas przyczepiły, że wracają po kilku tygodniach mimo przeprowadzonej kuracji, już nie jestem postępowym człowiekiem, teraz wypełnia mnie dawne uczucie: wstyd, że jesteśmy rodziną z wszami.

Van Gogh

Van Gogh nie był właściwie żadnym malarzem. W każdym razie nie w rozumieniu osoby, której malowanie przychodzi z łatwością, która już w dzieciństwie przejawia talent, rysując ludzi i miejsca ze swojego otoczenia w taki sposób, że jej dalsza droga życiowa, ze szkołą plastyczną, dodatkowymi zajęciami z malowania i rysunku pod okiem artysty, jest oczywistością, choć czasem budzącą kontrowersje wśród rodziny i przyjaciół. Van Goghowi malowanie i rysowanie wcale nie przychodziło z łatwością i jego bliscy nie podejrzewali, że chłopiec wyrośnie na artystę. Van Gogh zaczął malować, gdy miał dwadzieścia siedem lat. Do tego czasu pracował jako handlarz dziełami sztuki, księgarz, nauczyciel i pastor. Był nerwowy i trawił go ogień, który nie pozwolił mu znaleźć ukojenia w żadnym z wykonywanych zawodów. Obrazy z pierwszych lat twórczości są słabe, pozbawione techniki, kształty kanciaste, kolory ciemne, całość, to, co starał się osiągnąć, przeciętna. Nie chodzi o to, że był wizjonerem, który jeszcze nie opanował techniki na tyle, by wyrazić swoje wizje, lecz raczej o to, że walczył z barwami, by stworzyć coś, co przynajmniej będzie można nazwać obrazem. Szczególną trudność sprawiało mu malowanie ludzi, ludzkiego ciała i jego wyrazu, zresztą miał z tym kłopot przez cały krótki okres swojej twórczości. Gdyby van Gogh żył w epoce renesansu lub baroku, albo, powiedzmy, w okresie impresjonizmu, nikt nie traktowałby go serio. Byłby jeszcze mniej utalentowanym przyjacielem pozbawionego talentu przyjaciela, tego z błędnym wzrokiem, tego, który pił za dużo i którego nikt nie lubił, ponieważ cechy jego charakteru były zależne od uzyskania przebaczenia, by móc funkcjonować, a kto wybaczy słabemu malarzowi?

Malarstwo renesansowe, barokowe czy impresjonistyczne wychwytuje coś z istoty motywu i oddaje coś z jego obiektywnego bytu – rzecz, twarz, drzewo albo na przykład gronostaj w ramionach kobiety na obrazie Leonarda da Vinci, na którym spotkanie tego, co zwierzęce, z tym, co ludzkie, jest niewyczerpane i nadal, pięćset lat później, robi wrażenie. Albo impresjonistyczne ujęcie światła, połączenie miejsca z określoną chwilą w czasie, dzięki czemu zostaje zniesiona jej ulotność. To promieniowanie obiektywizmu jest całkowicie nieobecne u van Gogha, nawet wtedy, gdy dokonuje się przełom w jego twórczości w postaci lawiny obrazów ikonicznych, powstałych w ostatnich latach życia. Jego krajobrazy nie wzbudzają uczuć, które zwykle wywołuje krajobraz, zupełnie jakby nie zatrzymał na nich dłużej wzroku, jakby właśnie odchodził i rzucał ostatnie spojrzenie na świat. Lekkość, jaką to powoduje, jest zadziwiająca, niepodobna do niczego innego. Nie ma ona źródła w technice, jak u innych malarzy, bo van Gogh przegrał walkę z techniką; jego lekkość jest innego rodzaju. Rezygnując z techniki,

wygrał coś innego, niedbałość, która pozwala, by świat ukazał się nieskrępowany tym, co na jego temat myślimy. Van Gogh próbował związać się ze światem, ale nie dał rady, próbował związać się z malarstwem, ale nie dał rady, dlatego wznosił się ponad jedno i drugie i związał się ze śmiercią – i dopiero wtedy świat i malarstwo stały się dla niego możliwe. Ponieważ siła zawarta w tych obrazach – ich maniakalne światło i niezwykła zdolność przenikania, która sprawia, że wyglądają tak, jakby to, co niebiańskie, przebijało się przez to, co ziemskie, i unosiło je – jest uwarunkowana tym, że spojrzenie rzeczywiście jest ostatnie.

Wędrówki ptaków

Pewnego jesiennego popołudnia wyciągam ze zmywarki czyste naczynia, smażąc jednocześnie kielbaski i gotując makaron, i kiedy zmywarka jest pusta, wkładam do niej brudne talerze po śniadaniu. Wyrzucam do kosza na śmieci pół miski miękkich płatków owsianych, które wessały w siebie tyle mleka, że prawie się rozpląnęły, z wyskrobaną do dna puszką po pasztecie, zawiązuję worek, wyciągam go z kosza, przykręcam gaz i wychodzę z domu z workiem w dłoni. Lekko mży, niebo jest szare, powietrze zupełnie nieruchome. Gdzieś nade mną rozlega się skrzek, potem jeszcze jeden. Unoszę wzrok. Nadlatuje około dziesięciu gęsi w kluczu. Słyszę łopot ich skrzydeł, gdy majestatycznymi ruchami unoszą się w powietrzu z wyciągniętymi do przodu szyjami. Gdy znikają mi z oczu, ruszam do kontenera na śmieci, wrzucam worek i zatrzymuję się na chwilę, by popatrzeć na ogród, żółty, brązowy i bladozielony. Wszystko błyszczy od wilgoci. Wiem, że jeśli wejdę na trawnik, podeszwa buta zgniecie trawę i dotknie ziemi.

W tym czasie kielbaski pokryły się brązowoczną powłoką, zwłaszcza na brzegach, poza tym zrobiły się lekko nabrzmięte i bardziej pękate. Makaron, podążający za wirowym ruchem wrzącej wody, jest już gotowy. Przelewam go nad zlewem do durszlaka, odcedzam i potrząsam. Wędrówka ptaków żyje we mnie swoim własnym życiem. Nie myślę o tym, ale to jest we mnie, w strumieniu uczuć i wrażeń, które czasem zastygają w obrazach. Nie tak wyraźnych ani czytelnych jak fotografie, ponieważ to, co zewnętrzne, nie odbija się w nas w ten sposób, lecz w postaci rys i zadraśnień: kilka czarnych wierzchołków drzew, niebo, a potem ten dźwięk, odgłos wielu par skrzydeł łopoczących w górze. Ten dźwięk budzi uczucia. Co to za uczucia?, zastanawiam się, siedząc przy biurku i pisząc te słowa. Tak dobrze je znam, ale wyłącznie jako emocje, nie jako myśli czy pojęcia. Odgłos wielu par ptasich skrzydeł, które uderzają na wysokości jakichś piętnastu metrów nad ziemią, słyszę dwa, trzy razy każdej jesieni od czterdziestu lat.

Kiedyś, w dzieciństwie, świat był nieskończony. Afryka, Australia, Azja, Ameryka – to były miejsca poza horyzontem, daleko stąd, daleko od wszystkiego, z niewyczerpanymi rezerwuarami zwierząt i krajobrazów. To, że naprawdę można tam pojechać, wydawało mi się równie niewyobrażalne jak podróż do jednej z wielu ksiązek, które czytałem w tamtym czasie. W końcu, powoli – bo nie przypominało to nagłego olśnienia – zacząłem rozumieć, co znaczyły dla mnie wędrówki ptaków. To, że pokonywały tę długą drogę bez niczyjej pomocy i że świat wcale nie był nieskończony, lecz ograniczony, i że ani miejsce, które opuszczały, ani to, do którego zmierzały, nie były abstrakcyjne, lecz konkretne i lokalne.

Tak, właśnie to czułem, gdy wsuwałem łopatkę pod kielbaski i układałem je

na zielonym półmisku, a potem wrzuciłem makaron do szklanej salaterki. Świat jest materialny. Zawsze znajdujemy się w jakimś miejscu. Teraz jestem tutaj.

Tankowce

Prawie wszystkie moje sny rozgrywają się wśród krajobrazów, które dawno temu opuściłem, jakbym pozostawił tam coś, co nie zostało dokończone. Zwłaszcza Arendal, miasteczko na samym południu Norwegii, na którego przedmieściach się wychowałem i które opuściłem ponad trzydzieści lat temu, jest miejscem akcji wielu moich snów.

Na zdjęciach Arendal z końca dziewiętnastego wieku najbardziej rzucają się w oczy maszty w porcie. Arendal było miastem portowym. To tutaj mieszkali armatorzy i marynarze, a chociaż większość statków przewoziła drewno z wielkich lasów w głębi lądu do Europy kontynentalnej i na Wyspy Brytyjskie oraz pływała głównie po Morzu Północnym, należały one do oplatającej cały świat siatki, której współrzędne geograficzne obejmowały równie odległe i egzotyczne kraje, jak Chiny czy Borneo. W osiemnastym wieku u wybrzeży Arendal zatonął statek przewożący niewolników; statek, na którego pokładzie znajdował się Wagner, szukał schronienia przed burzą w tamtejszym porcie, co zostało przedstawione w *Latającym Holendrze*, i to właśnie z Arendal Nansen wypłynął na swoją pierwszą ekspedycję naukową do bieguna północnego.

W latach siedemdziesiątych, w czasach mojego dzieciństwa, nie było już po tym wszystkim śladu. Żadnych masztów w porcie, żadnych wielkich statków przepływających przez Galtesund, nie licząc promów do Danii. Co prawda, w Arendal były szkoła morska i stocznia, i wciąż mieszkali tam armatorzy i kapitanowie, lecz kultura morska nie charakteryzowała już miasta, była powoli wypierana, prywatny biznes postawił na rekreację i wypoczynek, co przejawiało się niezliczoną ilością małych łodzi, które w cieplej połowie lata pływały po morzu, a w słoneczne dni okupowały wybrzeże szkierowe.

I wtedy coś się wydarzyło. Nastąpił kryzys naftowy i olbrzymie tankowce, formalnie własność lokalnych armatorów, które pływały daleko stąd i nie pokazywały się nigdy w pobliżu Arendal, nagle zostały bez przydziału, nie było dla nich zleceń. I dlatego wróciły do domu. Po prostu pewnego dnia stanęły na kotwicy w cieśninie między Hisøya i Tromøya. Były gigantyczne, jak z innego świata. Wznosiły się nad domami i zboczami gór, widoczne z każdego miejsca. I chociaż były zbudowane z metalu i powstały dzięki technologii i sztuce inżynierskiej, które kilka pokoleń wstecz w ogóle nie istniały, nie wyglądały na pochodzące z przyszłości, lecz z przeszłości. Może dlatego, że były tak proste i prymitywne, i tak potężne, że w czasach, kiedy wszystko stawało się coraz mniejsze, sprawiały wrażenie, jakby wyłoniły się z głębin przeszłości zamieszkiwanych przez bóstwa. Nie pasowały do naszego świata, lecz były piękniejsze niż cokolwiek innego, i przez pierwsze tygodnie nie sposób było oderwać od nich oczu. Stały zupełnie

nieruchomo, skupione na sobie, zamknięte na świat, nie istniało do nich żadne wejście, nic, co by je otwierało; odrzucały wszystko. Ponad czterdzieści lat później wciąż we mnie żyją i śnią mi się dziś w nocy. Znajdowałem się na terenie Szkoły Morskiej i spoglądałem na wody cieśniny między dwiema wyspami, gdzie stały zakotwiczone tankowce. W następnej chwili byłem tuż przy nich. Jak urzeczony patrzyłem, jak kadłub wznosi się nade mną niczym masyw górski, a kotwica, gruba jak pień, znika bezgłośnie w głębinie. Sny należą do naszej pradawnej warstwy, stanowią formę świadomości, którą oprócz ludzi mają również zwierzęta. Gdy się obudziłem, pomyślałem, że prawdopodobnie w ten sposób nasz świat jest obecny w nich, że w ten sposób zwierzęta widzą wszystkie nasze konstrukcje, drapacze chmur, mosty i statki. Bo we śnie tankowce do przewozu ropy nic nie znaczyły, po prostu się tam znajdowały, a jednocześnie zrobiły na mnie kolosalne wrażenie.

Ziemia

Późnym popołudniem, gdy zaczął zapadać zmrok, a ja wracałem do domu z dziećmi, które odebrałem ze szkoły, zobaczyłem światła na polu; poruszały się powoli do przodu. To były traktory. Po chwili, gdy znaleźliśmy się na końcu równiny, w miejscu gdzie droga skręca pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, minęliśmy jeden z nich z bardzo bliska. Stał nieruchomo, a światła mocnych reflektorów otwierały w ciemności wielką grootę. Ziemia – czarna, miejscami błyszcząca – ciągnęła się dalej niczym podłoga. Przyłapałem się na tym, że myślę o niej jak o czymś żywym. Że teraz leży uśpiona, a wiosną zbudzi się do życia i zacznie wznosić ku niebu we wszystkich swoich odsłonach: jako lśniące żółte pola rzepaku, bladozielone łąny zbóż, które w ciągu lata staną się żółto-beżowe, a z czasem już tylko beżowe, żółtozielone pastwiska, jaskrawozielone pola cebuli, ziemniaków, marchwi i buraków cukrowych. I że ziemia po tym ogromnym wysiłku będzie szukała wytchnienia i bez szemrania pozwoli, by wszystko zostało ścięte, wyrwane i zebrane, a potem znowu zostanie cudownie zaorana, zanim zima ześle na nią sen.

Ale tak przecież nie jest. Ziemia jest martwa – albo nieżywa, może to słowo stanowi lepsze określenie dla istoty rzeczy. Ziemia jest nieżywa, lecz mieści w sobie życie i w tym sensie jest podobna do morza. Jednak w przeciwieństwie do morskiej wody – czystego chemicznie związku dwóch pierwiastków, tlenu i wodoru, w którym inne substancje i minerały unoszą się, lecz nie są w stanie do niego przeniknąć, i który nie może ulec przemianie, nie stając się automatycznie czymś innym – ziemia jest nieczysta i zmienna. Ziemia nie jest tym, co się staje, lecz tym, co zostaje, składa się z resztek, z piasku po kamieniach, materiału organicznego po roślinach i zwierzętach, z minerałów, które dostały się tam z wodą lub wiatrem, z gazów i cieczy. I w odróżnieniu od wody, przezroczystej i neutralnej, ziemia jest czarna jak noc i jak coś, co nie istnieje. To, że właśnie z ziemi każdej wiosny wyrasta życie, i to z tak nieokiełznaną siłą, jakby chciało wymknąć się śmierci, w której jest zakorzenione, sprawia, że zaczynam doszukiwać się źdźbła prawdy w starej gnostycznej koncepcji, według której ziemia i życie na ziemi są dziełem demiurga. Kto inny wpadłby na pomysł, by pierwszego człowieka ulepić z gliny i nadać mu imię Adam, co po hebrajsku oznacza „ziemia”?

Chociaż z ziemią nie łączą nas korzenie, dzięki czemu możemy się po niej swobodnie poruszać, jesteśmy z nią nierozzerwalnie związani. Jej zdolność do ciągłej zmiany trzyma nas przy życiu i niejako nas popycha, a poza tym, kiedy życie gaśnie i ziemia nie jest w stanie dłużej nas podtrzymywać, przyciąga nas do siebie w okrutnym ostatnim uścisku, sprawiając, że nie tylko stajemy się tacy jak

ona, lecz stajemy się nią.

Zza mijanego traktora wyszedł mężczyzna i wdrapał się do szoferki. W lusterku wstecznym zobaczyłem, że ciągnik powoli rusza, a potem, gdy zbliżaliśmy się do drugiego końca długiej równiny, świecił jak statek daleko, daleko na czarnym jak noc morzu.

Listy do nienarodzonej córki

22 PAŹDZIERNIKA. Zupełnie wyjątkowy, piękny dzień. Słońce, częściowo zachmurzone niebo, miękkie światło nad otwartym krajobrazem, w którym wszystko się mieniło, zwłaszcza trawa, wciąż zielona, w niezwykle sposób kontrastująca z jesiennymi barwami drzew, tak jakby jednocześnie trwały dwie pory roku. Niebo było przezroczyste, kolory przybladłe, ale światło, które niebo zsyłało na pola – nasycone. W drodze do szkoły zajechałem do Björna, siedzieliśmy w samych koszulach, piliśmy kawę i paliliśmy papierosy. Znad morza, od strony wzgórz, od których dzieliły nas może cztery kilometry, w regularnych odstępach czasu rozbrzmiewały głośne grzmoty, złowieszczy archaiczny dźwięk, i huk salw z karabinów maszynowych dobiegający z poligonu wojskowego ciągnącego się od Hammar w głąb lądu. Zielone wzgórza, które kończą się raptownie piaszczystymi klifami jakieś pięćdziesiąt metrów nad Morzem Bałtyckim. Gdy jechałem dalej, żeby odebrać dzieci ze szkoły, zobaczyłem łopoczącą w górze czerwoną flagę ostrzegawczą. Cztery lata temu wynajmowaliśmy na wakacje dom u stóp tego wzgórza, spędziliśmy tam dziesięć dni i właśnie wtedy znaleźliśmy dom, w którym teraz mieszkamy i w którym będziesz dorastać. Wszystko, co wydarzyło się do chwili Twoich narodzin, będzie dla Ciebie pewnego rodzaju mitologią; już widzę, jak pytasz rodzeństwo o szczegóły, choć nie do końca jesteś w stanie wyobrazić sobie czasy, zanim przyszedł na świat.

Kiedy myślę o moim ojcu, który już nie żyje i którego nigdy nie spotkasz, uderza mnie, jak mało wiem o jego życiu, zanim założył rodzinę, i jak mało mnie to ciekawiło, gdy byłem dzieckiem. To samo dotyczy mojej matki, Twojej babci, ale ją mogę jeszcze o coś zapytać, na przykład o to, jak dorastało się tuż po wojnie albo czego uczyli się w szkole. W kim była zakochana, zanim poznała mojego ojca, jakimi byli ludźmi. Bo tak to już jest, że dla nas liczy się wyłącznie czas, w którym żyjemy, w każdym razie, kiedy jesteśmy dziećmi i nastolatkami, i ważne jest to, kim są ludzie właśnie w tym czasie, a nie to, co do niego wnieśli ani skąd. Kiedy się urodzisz, będę miał czterdzieści pięć lat, a to oznacza, że nie mogę liczyć na to, że spędzę z Tobą więcej niż trzydzieści lat, z czego ostatnie być może chory lub zniedołężniały. Jeśli kiedyś będziesz miała dzieci, może się zdarzyć, że urodzisz je, kiedy mnie już nie będzie na świecie. W pewnym sensie jest w tym coś wspaniałego: sięgniesz daleko w przyszłość, a Twoje dzieci jeszcze dalej, i Twoje wnuki, dla których to wszystko – dom, w którym się wychowałeś, rodzina, której byłaś częścią – będzie jedynie mglistym, dalekim wyobrażeniem. Ale trawa będzie zielona, niebo błękitne, a promienie słońca, które wstaje na wschodzie, będą zalewać krajobraz i sprawiać, że będzie się mienił we wszystkich kolorach, bo

świat pozostaje niezmienny, zmieniają się tylko nasze wyobrażenia na jego temat.

Dzisiaj Linda powiedziała, że kopiesz. Położyłem dłoń na jej brzuchu i poczułem to – nacisk Twojej małej stópki.

Do terminu porodu zostały jeszcze cztery miesiące. Łóżeczko jest już gotowe, wózek też – w zeszły weekend odebrałem obie rzeczy od naszych przyjaciół w Malmö. Wszystkie dziecięce sprzęty, które należały do Twojego rodzeństwa, rozdaliśmy lub wyrzuciliśmy; nie spodziewaliśmy się, że jeszcze kiedyś nam się przydadzą.

Teraz krążymy po domu i czekamy. Twoje rodzeństwo oglądało zdjęcia z USG i przygotowało dla Ciebie laurki. Cieszą się, że niedługo przyjdiesz na świat.

Ja też.

LISTOPAD



Puszki

Puszki są wykonane z metalu i zwykle mają kształt walca, kształt niespotykany w naturze, nawet na plaży powstałej z otoczków, gdzie morze przez miliony lat szlifowało kamienie, tworząc z nich wszelkie możliwe wariacje kul i stożków. Ale nawet morze nigdy nie wymyśliło regularnego kształtu puszki o dwóch płaskich okrągłych denkach połączonych tubą. Kiedy człowiek znajdzie puszkę w naturze, nigdy nie ma wątpliwości, co to jest, nie da się jej pomylić z niczym innym, gdziekolwiek by leżała: na wrzosowisku, na plaży czy na poboczu drogi, zupełnie sama, całkowicie odizolowana od otoczenia. W ten sposób istnieje zgodność między kształtem puszki a jej funkcją, polegającą na zamknięciu czegoś przed światem. Albo raczej przed przemijaniem rozumianym jako czas i procesy, którym podlega wszystko, co istnieje. To, co znajduje się wewnątrz puszki, jest oddzielone od substancji, gazów i stworzeń, które nie ustają w wysiłkach, by zniszczyć materię, sprawiając, że rdzewieje, gnije lub w inny sposób zmienia swój kształt i konsystencję. Puszka jest hermetyczna, a więc jej zawartość przez cały czas wygląda tak samo jak w chwili jej zamknięcia. W szafce, gdzie konserwy są przechowywane, siły natury rozprawiają się ze wszystkim innym: bułki do hot dogów, które również tam leżą, z czasem okrywają się cienką warstwą niebieskawej pleśni, zaczynają brzydko pachnieć i stają się niejadalne, z tortillą jest to samo, muszle do tacos miękną, a napoje, których termin przydatności do spożycia minął, kwaśnieją. Natomiast groszek, kukurydza, ananas i lapskaus^[1] są bezpieczne w swoich kapsułach czasu. Ta sama zasada zadziałała w przypadku szwedzkiego galeonu Vasa, jedyne na świecie w całości zachowanego okrętu z XVII wieku: leżał w wodzie ubogiej w tlen, pokryty gliną i szlamem. Ta sama zasada zadziałała również w przypadku zmumifikowanych szczątków ludzkich znalezionych na Jutlandii w Danii, pochodzących z epoki kamienia, które udało się wydobyć z torfowiska w doskonałym stanie. W hermetycznej przestrzeni nic nie może żyć, a więc nic nie może w niej umrzeć. Konserwy bez etykiety – sam metal o tym nieorganicznym kształcie – wyglądają na wytwór przemysłowy: widać wyraźnie, że ich zadaniem jest odrzucanie życia. Człowiek nie przejmuje się tą zimną martwością metalu w warunkach kryzysowych albo ekstremalnych, na przykład w czasie wojny, na linii frontu, ale kiedy ma swobodny wybór, na przykład robiąc zakupy w supermarkecie, niechętnie sięga po konserwy. I właśnie dlatego wszystkie puszki są wyposażone w etykiety, które nie tylko informują o zawartości, na przykład GROSZEK – ponieważ język również ma w sobie coś martwego i zimnego, co nie jest w stanie pokonać odpychającego metalu – lecz prezentują zdjęcia, najdelikatniejsze i najświeższe, dzięki czemu pomijamy metal

i martwoję i przechodzimy od dopiero co zebranego groszku do groszku podanego na tacy. A kiedy otwieracz do konserw przebija się przez metalowe wieczko, które następnie odginam, tak że przypomina ząbkowane rondo kapelusza, i kiedy widzę małe okrągłe ciemnozielone groszki w przezroczystej gęstawej zalewie, ślina napływa mi do ust. Mają o wiele lepszy, pełniejszy, jakby ciemniejszy smak od jasnego mrożonego groszku i pasują idealnie do, na przykład, paluszków rybnych, razem z gotowanym kalafiorem, tartą marchewką, ziemniakami i masłem.

Twarze

Trudno wyobrazić sobie coś, na temat czego mamy większą wiedzę. Tak jak trudno wyobrazić sobie wiedzę, która byłaby sprawiedliwiej podzielona. Widzieć to nie tylko rejestrować, lecz także różnicować. Chociaż wszyscy widzą, że to, co rośnie na łące, jest drzewem, i chociaż prawie wszyscy widzą, że to drzewo to jabłoń, tylko nieliczni, ci wtajemniczeni, dostrzegają, jaka to odmiana jabłoni, ile ma lat, w jakim jest stanie. Większość dziedzin świata społecznego wymaga pewnych kompetencji i doświadczenia, by zostać zauważonymi i zrozumianymi. Z twarzami jest inaczej. W tej samej chwili, w której widzimy czyjąś twarz, wiemy, czy już ją kiedyś widzieliśmy, nawet jeśli zdarzyło się to tylko jeden raz, w dodatku dawno temu. Wiemy, co dana twarz wyraża, radość czy smutek, zdziwienie czy obojętność, zapał czy opieszałość. Wiemy również natychmiast, ile lat ma twarz, czy jest ładna czy brzydka, zwyczajna czy wyjątkowa, i czy się nam podoba czy nie. I chociaż twarze wydają nam się podobne, rzadko je mylimy, każdą traktujemy jako unikatową, nawet te najpospolitsze. Jest to tym dziwniejsze, że wszystkie twarze składają się z tych samych komponentów, których nie jest wcale tak dużo. Czoło, brwi, oczy z rzęsami, nos, policzki, usta z wargami i zębami, podbródek. Różnicujemy z konieczności, jesteśmy zmuszeni, by widzieć różnice między, na przykład, roślinami jadalnymi i niejadalnymi, i z pasji, która – jeśli jest autentyczna – sprawia, że różnicujemy automatycznie: każdemu, kto choćby w minimalnym stopniu interesuje się sztuką, wystarczy rzut oka na obraz, by stwierdzić, czy wyszedł spod pędzla van Gogha czy Gauguina, Morisot czy Pissarra. To, że wszyscy mamy równie dużą wiedzę na temat twarzy, wynika zarówno z konieczności i pasji, jak i bliskości, i oznacza, że nasze właściwe życie nie toczy się w krajobrazach ani wśród rzeczy, lecz wśród ludzi, w świetle bijącym z twarzy. Oznacza też, że oświeceniowe próby, by zracjonalizować świat społeczny, koniec końców doprowadziły wiedzę również do twarzy: na początku ubiegłego wieku człowiek zaczął mierzyć odległości i wielkości i zestawiać je z kolorami i walorami, systematyzując je, tak samo jak to zrobił z roślinami i zwierzętami; katalogował różne wyrazy twarzy, rysując całe ich serie. Ale ponieważ twarz nie tylko należy do tego, co ludzkie, bo to samo można powiedzieć o ramieniu czy palcu u ręki, lecz także wyraża to, co ludzkie, nie można jej uchwycić. Pierwiastek ludzki jest zmienny, ruchomy i niezrozumiały. Nie dalej niż dziś rano, siedząc w salonie, spojrzałem na twarz mojej najstarszej córki, jedną z tych twarzy, które znam najlepiej, we wszystkich jej fazach wieku i formach ekspresji. Twarz spoczywała z policzkiem opartym o poręcz kanapy, wzrok był utkwiony w telewizorze. Zobaczyłem w niej coś nowego: była podobna do twarzy mojej matki, choć nigdy wcześniej jej nie przypominała. Gdy po chwili ponownie

rzuciłem okiem na twarz córki, podobieństwo zniknęło. Ja sam coraz bardziej upodabniam się ostatnio do ojca.

Ból

W bólu istotne jest to, że jest nieprzetłumaczalny. Widzimy, że ktoś cierpi, i rozumiemy, że coś go boli, lecz odległość między pojęciem bólu a samym bólem jest tak ogromna, że nawet najgłębsze współczucie nie jest w stanie zbudować nad nim mostu; wobec bólu innych jesteśmy zawsze obcy. Oznacza to, że człowiek jest zawsze sam w swoim cierpieniu. Jednak ból jest nieprzetłumaczalny nie tylko między ludźmi, lecz także w samym człowieku, ponieważ gdy tylko ustaje, rodzi się w nas dystans: pamiętamy, że odczuwaliśmy ból, i możemy sobie powiedzieć, że ból jest jak ciemność, w której byliśmy zanurzeni, i w ten sposób obejmujemy go myślą, ale myśli przebywają w swoim własnym świecie, gdzie wszystko jest lekkie i niematerialne, więc gdy ból powraca, są odsuwane na bok jak zasłona, a my znowu zanurzamy się w rzeczywistości: o, nie!, a więc to t a k boli.

Można by zatem sądzić, że ból dotyczy ciała i że znajduje się na innym, bardziej fizycznym poziomie rzeczywistości niż myśli. Ale tak nie jest. Bo chociaż przyczyna bólu ma swoje źródło w ciele i jest materialna, sam ból jest niematerialny i powstaje w mózgu, gdzie sygnały przewodzone przez włókna nerwowe wywołują reakcję chemiczno-elektryczną w komórkach, a ta sprawia, że ból rozrywa ciało z siłą i intensywnością, która tak się ma do zwykłych myśli, jak światło lampy sufitowej do płonącego magnezu. Mamy w r a ż e n i e, że ból znajduje się bliżej fizycznej rzeczywistości również dlatego, że czujemy go w ciele, czy to w ręce, którą rozbiliśmy o kamień, czy w nerkach, gdzie namnażają się komórki rakowe, a nie w mózgu, który stanowi centrum myśli.

To, w jak dużym stopniu ból jest konstrukcją i jak blisko jest spokrewniony z myślami, staje się jasne, kiedy człowiek uświadamia sobie, że ból może powstać również w kończynach lub narządach, których już nie ma. Jakaś część ciała nie istnieje, nogę amputowano, ale ból stwarza na nowo to, czego już nie ma; pacjent wyraźnie czuje odciętą kończynę. Noga jest fikcją i w ten sposób ból ujawnia powinowactwo z myślą, ale także swoją nad nią przewagę, bo chociaż myśl stwarza fikcje, w które jesteśmy w stanie uwierzyć, nigdy nie odczuwamy ich jako fakty fizyczne.

Jeszcze bardziej skomplikowany staje się stosunek między bólem a rzeczywistością, jeśli przyjrzymy się bólowi odczuwanemu we śnie: jaki jest jego status? Pewnej nocy, gdy spałem, to było wiosną, okropnie rozboleł mnie brzuch. Ból był nie do zniesienia, zupełnie jakby ktoś grzebał mi ręką we wnętrznościach. Wiłem się na łóżku, nie istniało nic oprócz tego bólu. Nagle wszystko wróciło do normy. Leżałem z otwartymi oczami i czułem niesamowitą ulgę, jaka ogarnia człowieka, gdy ból przechodzi. Czyżbym spał? Tak, musiałem spać. Czy ten ból mi się przyśnił? Nie byłem pewny, ale wiele na to wskazywało. Co to był za ból?

Skoro potrafił przenieść się do snu nienaruszony, z całą swoją siłą? Właśnie wtedy ukazuje się prawdziwa natura snu, który jest niczym innym jak ułudą stanu pogotowia, jego zadaniem jest stworzenie modelu rzeczywistości. W tym celu może wykorzystać wszystkie gałęzie jaźni, która z kolei otrzymuje model do dyspozycji, ponieważ właśnie w nim żyjemy, w obrazie rzeczywistości, w wewnętrznym uproszczeniu.

Wydaje nam się, że stosunek wewnętrznego obrazu do rzeczywistości zewnętrznej jest identyczny, zdarza się jednak, że on czasem pęka, na przykład wtedy, gdy boli nas coś, co nie istnieje, lub gdy ogarnia nas jasne i wyraźne przeczucie, że przeżywamy coś po raz drugi, to, co nazywamy d é j à v u, a co jest niczym innym jak mikroskopijnym przesunięciem między naszym obrazem rzeczywistości a samą rzeczywistością.

Świt

Nasz dom tworzy podkowę z otworem na wschód; dzięki temu każdego dnia przez okrągły rok oglądam wschód słońca. Trudno przyzwyczać się do tego widoku. Nie żebym był codziennie zaskoczony, bo przecież wiem, że słońce wstaje każdego ranka, a jego światło sprawia, że ciemności ustępują. Chodzi bardziej o to, że dzieje się to na wiele różnych sposobów i, co chyba najważniejsze, wywołuje poczucie fundamentalnego dobra. Można to porównać do uczucia, które ogarnia człowieka, gdy lekko zziębnięty wchodzi do wanny z ciepłą wodą, zadowolenie spowodowane tym, że ciało niejako wraca do swojego pierwotnego stanu. A kiedy go osiąga, zadowolenie znika, ponieważ rzadko myślimy o tym, że nasze ciało ma idealnie umiarkowaną temperaturę. Tak samo jest ze wschodem słońca. To nie światło samo w sobie wywołuje miłe uczucie, bo kiedy już jest, powiedzmy o godzinie wpół do trzeciej po południu, bierzemy je za coś oczywistego. Chodzi raczej o samo przejście. Nie o blask nieruchomego słońca, które wystrzeliwuje ponad horyzont, kiedy kula ziemską zwraca się ku niemu, lecz odbicie tego blasku kilka minut wcześniej, przypominające bladą pręgę w nocnych ciemnościach, tak delikatną, że w ogóle nie nasuwa na myśl światła, lecz jedynie jakąś słabość mroku. Chodzi o to, jak ten nieskończenie piękny i słaby poblask, miks szarości, powoli rozprzestrzenia się i niepostrzeżenie przenika również ogród wokół mnie, z którego powoli wyłaniają się drzewa i ściany domu. Jeśli niebo jest przejrzyste, błękitnieje na wschodzie, a chwilę później wystrzeliwiają pierwsze lśniące pomarańczowe promienie słońca. Najpierw tylko się odsłaniają, jakby nie miały innych atrybutów poza kolorem, lecz w następnej chwili, kiedy padają na krajobraz ogromnymi wiązkami, ukazują swoje prawdziwe oblicze; pejzaż zostaje wypełniony barwą i blaskiem. Jeśli niebo jest zasłane chmurami, wszystko to dzieje się niejako w ukryciu: drzewa i dom wyłaniają się z ciemności, która znika, a krajobraz wypełnia się światłem i barwą, lecz źródło tych zmian jest widoczne jedynie jako pole na niebie o większej gęstości światła, czasem okrągłe, o ile powłoka chmur jest cienka, czasem rozmyte, wtedy można odnieść wrażenie, że to chmury świecą. Dzięki temu zjawisku, które powtarza się każdego dnia naszego życia, rozumiemy również samych siebie. Świt jest zawsze początkiem czegoś, tak jak jego przeciwieństwo, zmierzch, zawsze oznacza koniec. Ponieważ wiemy, że ciemności niemal we wszystkich kulturach reprezentują śmierć i zło, natomiast światło symbolizuje życie i dobro, te dwie przejściowe strefy między nocą a dniem stają się strukturami wielkiego egzystencjalnego dramatu, do którego zostaliśmy wciągnięci, i chociaż rzadko myślę o tym, stojąc w ogrodzie i patrząc, jak wstaje świt, to musi w tym jednak coś być, skoro tak przyjemnie się na to patrzy. Ponieważ ciemność jest regułą, a światło wyjątkiem od niej, tak jak życie jest

wyjątkiem od reguły, jaką jest śmierć. Światło i życie to anomalie, a świt jest ich ciągłym potwierdzeniem.

Telefony

Wewnętrzne przetwarzanie rzeczywistości następuje tak powoli, że kiedy myślę o telefonie, wciąż mam przed oczami szary telefon stacjonarny^[2], który w Norwegii był w użyciu w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Składał się z dwóch części. Pierwszą była lekko wygięta tuba zakończona po obu stronach szerszym półkolistym tworem z małymi dziurkami. Do jednej półkuli przykładano się ucho, wewnątrz niej znajdował się głośnik, przez który dochodził głos rozmówcy, drugą półkulę trzymało się przy ustach, zawierała bowiem mikrofon wychytujący nasz głos i przesyłający go dalej. Drugą część telefonu stanowił sam aparat, połączony z tubą spiralnym przewodem. Stał zazwyczaj na stoliku, a jego dominującym elementem była tarcza numerowa z otworami dopasowanymi do wielkości palca wskazującego, po jednym dla każdej z dziesięciu cyfr. Na górze znajdowały się widełki, na których spoczywała słuchawka. Widełki składały się między innymi z dwóch plastikowych bolców regulujących linię. Gdy słuchawka leżała na widełkach, wciskała je do środka i wtedy linia była zamknięta, a gdy słuchawkę się podnosiło, wyslizgiwały się w górę, otwierając linię. Wówczas w tej części słuchawki, w której był ukryty głośnik, rozlegał się równy ciągły sygnał. Po wykręceniu numeru sygnał się zmieniał. Następowala seria krótkich dźwięków, co oznaczało, że linia jest zajęta, lub ciąg nieco dłuższych sygnałów – wtedy linia była otwarta i wystarczyło poczekać, aż osoba po drugiej stronie podniesie słuchawkę, by móc zacząć rozmowę.

W rzeczy samej była to idealna konstrukcja, niezwykle funkcjonalna, przygotowana do realizacji swojego zadania w możliwie najprostszy sposób, a jednocześnie wyjątkowo wyrafinowana, jeśli wziąć pod uwagę jej zdolność do przesyłania głosów tam i z powrotem wokół całej kuli ziemskiej. Ale skoro telefon z tarczą numerową jest już prawie na wymarciu, musiał mieć również jakieś słabe strony. Nie chodziło ani o rozwiązania techniczne, ani o kształt, lecz o dystans, jaki stwarzał między ludźmi. Ponieważ dostęp do telefonu podlegał regulacji – na początku lat siedemdziesiątych stało się w kolejkach do telefonu i mogło minąć wiele lat od złożenia wniosku do podłączenia aparatu – i z każdego domu wychodziła wyłącznie jedna linia, telefon wiązał się z pewną powagą, emanował autorytetem. Poza tym rozmowy telefoniczne były drogie, zwłaszcza krajowe, nie mówiąc już o międzynarodowych, które odbywały się jednak stosunkowo rzadko, ponieważ szary telefon stacjonarny istniał w czasach, gdy ludzie ani zbyt często nie wyjeżdżali za granicę, ani nie mieli zbyt wielu znajomych poza granicami kraju. Dzieci robiły ludziom kawały: wybierały przypadkowy numer i mówiły coś od rzeczy, a nastolatki potrafiły rozmawiać ze sobą całymi godzinami, ale to były

odstępstwa od normy. Jeśli ktoś dzwonił po dziesiątej wieczorem lub przed dziewiątą rano, to albo był pijany, albo zmarł mu ktoś z rodziny. Telefon kojarzył się z czymś formalnym, stwarzał dystans, a ponieważ powodem była jego forma, której użytkowanie telefonu nie było w stanie przewyciężyć, forma musiała się zmienić, by dotrzymać kroku czasom zmierzającym w stronę tego, co nieformalne. To samo dotyczy listów. Starzy ludzie, którzy zżyli się z telefonem stacjonarnym, równie formalnie i z takim samym szacunkiem traktują telefon komórkowy, co sprawia, że wyglądają nieco śmiesznie, a jednocześnie wzruszająco. Odległość, przez którą kiedyś kontrolowano rzeczywistość, by nie być bezradnym, sama stała się bezradna, i chociaż to dalekie porównanie, przyłapuję się na myśli o dyktatorze, który jednego dnia kontroluje wszystko, a następnego, kiedy ludzie zaczynają się buntować, okazuje się zupełnie nagi.

Flaubert

Odkąd jako dziesięcio-, może jedenastolatek zacząłem czytać książki z półki moich rodziców, książki dla dorosłych, jak je wtedy nazywałem, Flaubert i Tolstoj stali się moimi kompanami. Tolstoj, ponieważ przeczytałem jego dwutomową biografię, która należała do mojej matki, Flaubert, ponieważ przeczytałem *Panią Bovary*. Niewiele z nich zrozumiałem i nie pamiętam już, co wtedy czułem, ale domyślałem się, że to, co mnie w nich pociągało, to dwa różne światy, które otworzyły się przede mną: carska Rosja i cesarska Francja w połowie dziewiętnastego wieku. *Panią Bovary* czytałem prawdopodobnie w taki sam sposób jak inne francuskie powieści: *Szkarłatny kwiat*, *W dwadzieścia lat później* i *Trzech muszkieterów* lub powiedzmy *Czerwone i czarne*, która stała na tej samej półce. Ich treść nie miała żadnego znaczenia, liczył się tylko nastrój, który w tych dziewiętnastowiecznych powieściach łączył się z krajobrazem: zakurzone drogi, lśniące od potu konie, młyny, rzeki, cieniste drzewa liściaste, małe wioski. *Pani Bovary* dała mi właśnie to, czytanie jej było dla jedenastolatka jak spacer we wczesny rzeński letni poranek, gdy morze jest spokojne i błyszczące, drzewa nieruchome, a niebo intensywnie niebieskie, niemal bezkresne, ze słońcem wschodzącym powoli. Gdy czytałem ją ponownie, już jako student, stanowiła przykład powieści realistycznej, w której pisarz zupełnie się wycofał, zostawiając jedynie obiektywne opisy miejsc i zdarzeń. Nauczyliśmy się, że należy być podejrzliwym wobec tego realizmu; wyobrażenie, że język utworu jest jak okno, przez które można wyjrzeć na zewnątrz, było nieprawdziwe i naiwne. Studiowałem literaturę w czasach materializmu językowego i poststrukturalizmu, gdzie ideałem było tak głębokie wniknięcie w rzeczywistość słów, że wszystko, co miało związek z pisarzem, biografią, intencją i otaczającą ją rzeczywistością, zniknęło. Chociaż moje własne doświadczenia czytelnicze opierały się właśnie na tym, by patrzeć przez język na stworzoną przez niego rzeczywistość, byłem zafascynowany również ciężarem gatunkowym słów, których stosunek do większego obrazu był niemal taki sam jak stosunek atomów do widzialnego świata: całkowicie niezależne wirowały, kręciły się same z siebie, tworzyły zbitki nazywane nie częściczkami, lecz zdaniem, i czyniły to według własnych zasad, które człowiek siedzący w czytelni, pogrążony w lekturze, mógł kwestionować z poczuciem, że należy do przyszłości. Od tamtej pory czytałem *Panią Bovary* wiele razy. Pewnego lata egzemplarz książki leżał na trawniku przez kilka dni; czytałem ją, leżąc na trawie, i zupełnie o niej zapomniałem, ale chociaż później ją zauważyłem, nie odniosłem jej do domu. W tym widoku było coś tak przyjemnego: zielona trawa rosnąca wzdłuż boku szkarłatnego grzbietu, okładka z ubraną na białą kobietą leżącą pod połyskującymi plamami światła utworzonymi przez promienie słońca, które

sączyły się przez liście jabłoni. Gdy w końcu wziąłem się w garść i podniosłem książkę, była pękata, musiała nasiąknąć poranną rosą, a potem wyschła na słońcu. *Pani Bovary* to najlepsza powieść na świecie, co do tego nie mam wątpliwości, są w niej ostrość, krystalicznie czyste poczucie przestrzeni i materii, do jakiego ani wcześniej, ani później nie zbliżyła się żadna inna powieść. Zdania u Flauberta są jak ścierka, którą wyciera się okno zarośnięte brudem i spalinami, przez które człowiek przyzwyczał się spoglądać na świat. I to niesamowite uczucie ogarniające człowieka, gdy świat po raz pierwszy od bardzo dawna znowu promienieje.

Wymiociny

Wymiociny są zwykle żółtawe, od bladożółtego do żółtobrazowego, z fragmentami w zupełnie innym kolorze, na przykład czerwonym lub zielonym. Ich konsystencja jest płynna, ale może przypominać zarówno stosunkowo zwartą kaszkę, jak i zupełnie wodnistą zupę. Pierwsza część wymiocin jest zazwyczaj najbardziej zbita i twarda, wilgotna masa z małymi kawałkami pokarmu i grudkami, ostatnia zaś – przy założeniu, że następuje cała seria – składa się już tylko z żółtej ciecchy, lepkiej, śluzowatej, przypominającej surowe białko kurze. Na tle białej, gładkiej, porcelanowej muszli klozetowej i przejrzystej wody, która się w niej znajduje, wymiociny – czasem ogniście żółte, niemal błyszczące, innym razem bledsze, o bardziej słomkowym odcieniu – powinny być uważane za piękne, zwłaszcza gdy ich płynne elementy, rozłożone przez soki żołądkowe, mieszają się z wodą w wolno płynących chmurach lub spiralach żółci. Również wymiociny na parkiecie, dzięki kontrastowi twardej, lśniącej powierzchni paneli z miękką półpłynną konsystencją wymiocin rozbryzniętych na podłodze niczym lawina śnieżna u podnóża doliny, powinny się podobać. Tym bardziej że zasada piękna głosi, iż pod tę kategorię zwykle podpada to, co rzadkie i wyjątkowe. Jednak w przypadku wymiocin dwa inne aspekty zbijają zasadę wyjątkowości: to, że wymiociny są niedokończone (konkretyzacja negatywnego określenia „niestrawione”), oraz to, że należą do płynów i wydzielin ciała, które są nam wspólne, takich jak kupa, siku, ślina, sperma i smarki, w mniejszym lub większym stopniu uważane za odrażające, a jeśli pochodzą z ciała innych ludzi – za budzące wstręt. Bez względu na to, jak piękne odcienie żółci mają siki lub odcienie zieleni mają smarki, i jedno, i drugie są na straconej pozycji z tego prostego powodu, że pochodzą z wnętrza ciała i są kojarzone z odpadami. Ja sam sprzątałem wszystkie rodzaje wymiocin, od psich, kocich i dziecięcych do swoich własnych, i zawsze uważałem, że są obrzydliwe, zarówno ich zapach, kolor, jak i konsystencja. Wyjątkowo ohydne są wymiociny tuż po posiłku, w których na przykład kawałki pizzy są wciąż nienaruszone i rozpoznawalne, chociaż to trochę dziwne, zważywszy na fakt, że pizza, a raczej nadzienie pizzy wygląda jak wymiociny. Jedzenie wymiocin jest w ogóle nie do pomyślenia, byłoby to zresztą fizycznie niemożliwe: odruchy wymiotne zadziałałyby natychmiast, prawdopodobnie w tej samej chwili, w której miękka papka wypełniłaby jamę ustną. Jest to tak silna reakcja, że nie może być uwarunkowana kulturowo, musi dotyczyć ciała i jego fizjologii, jest to instynkt, który chroni nas przed zjedzeniem czegoś zatrutego lub nieświeżego. Moje dzieci boją się tego odruchu, kiedy czują, że zbliżają się wymioty, zaczynają płakać, a nawet rozpaczliwie krzyczeć. Gdy były całkiem małe, nie miały z tym problemu, wymioty były czymś, co się po prostu zdarzało,

jak wtedy, gdy wracałem z którymś dzieckiem z przedszkola, było popołudnie, ciemne niebo i autobus pełen milczących ludzi wracających z pracy. Córka siedziała obok mnie i nagle, bez ostrzeżenia, z wymiotowała na mnie. To była fontanna, wymiociny pokryły całą połowę mojej kurtki. Gdy już było po wszystkim, spojrzała na mnie przerażonym wzrokiem. Jakaś uczynna współpasażerka zaczęła grzebać w torebce, po chwili wyjęła z niej paczkę chusteczek higienicznych i podała mi kilka, choć nie na wiele się to zdało: chusteczki były żałośnie małe w stosunku do ogromu wymiocin. Nacisnąłem przycisk i wysiedliśmy na następnym przystanku. Smród kręcił w nosie, a z kurtki powoli ściekała wodnista maź, ale nie uważałem tego za obrzydliwe czy nieprzyjemne, wręcz przeciwnie – za orzeźwiające. Powód był prosty: kochałem córkę, a tak silnej miłości nic nie jest w stanie stanąć na drodze, ani to, co brzydkie, ani to, co ohydne, wstrętne czy przerażające.

Muchy

Muchy zniknęły. Musiało się to stać wiele tygodni temu, ale dopiero dzisiaj zwróciłem na to uwagę, gdy wycierałem stół przed śniadaniem i za jednym zamachem przetarłem parapet, na którym leżała martwa mucha, lekka i sucha jak mały uschnięty listek. Zmiotłem ją na ścierkę i kilka sekund później mucha wpadła bezgłośnie do zlewu, a gdy odkręciłem kran, krążyła w wirującej wodzie razem z innymi paprochami, po czym zniknęła w jednej z dziurek na dnie zlewozmywaka.

Latem jest ich w domu mnóstwo, zwłaszcza w kuchni, siadają gdzie popadnie i pocierają odnóżami albo latają tam i z powrotem, bez chwili wytchnienia. Zwykle dają im spokój, aż do czasu, gdy jest ich tak dużo, że nagle tracę nad sobą kontrolę i zaczynam zabijać je packą. Wystarczy jedno uderzenie i natychmiast tracą grunt pod nogami, spadają z białej belki sufitowej, jak rozbitkowie trzymający się kurczowo relingu szalupy, którzy nagle poddają się i zwalniają uścisk, a pozostałe muchy podrywają się gwałtownie i lecą gdzie indziej. Nie mam pojęcia, czy rozumieją, co się dzieje, chociaż zachowują się tak, jakby wiedziały, bo gdy tylko pierwszych pięć lub sześć ginie, coraz trudniej znaleźć te, które przeżyły, ponieważ zaczynają szukać ciemnych powierzchni, gdzie są niemal niewidoczne.

Muchy to pod wieloma względami ekstremalnie skomplikowane stworzenia. Niektóre z nich potrafią latać z prędkością do stu kilometrów na godzinę, inne są w stanie pokonać trasę wynoszącą ponad sto czterdzieści kilometrów bez chwili odpoczynku. Jednak to, co je wyróżnia, to oczy, u niektórych gatunków pokrywające całą głowę. Każde z oczu muchy składa się z kilku tysięcy fasetek, które leżą bardzo blisko siebie, tworząc konstrukcję wyglądającą bardziej mechanicznie niż organicznie, jak coś, co równie dobrze mogło wyjść z hali montażowej w zakładach elektronicznych. Co muchy przez nie widzą, trudno powiedzieć. Czy widzą rzeczywistość ostro i wyraźnie, czy dostrzegają jedynie ruch, przygaszony, podobny do gry cieni, tak jak film puszczonej na szybszych obrotach? Tak czy inaczej, fasetkowe oczy pozwalają muchom na dostrzeżenie zagrożenia z takim wyprzedzeniem, że mają czas na to, by odlecieć w bezpieczne miejsce. Zmysł smaku to druga niezwykła cecha much, ponieważ komórki smakowe są rozmieszczone u nich na całym ciele, a nie skupione w ustach jak u człowieka. Dlatego wystarczy, że mucha zanurzy stopę w to, co chciałaby zjeść, i już wie, jak to coś smakuje. Świat muchy musi być niesamowicie fragmentaryczny, bo jeśli blask światła zostaje wychwycony przez całą owadzią głowę, całkowita uwaga muchy musi być skierowana na zewnątrz w takim stopniu, że prawie nie dostrzega ona różnicy między samą sobą a przestrzenią, w której się znajduje – i kiedy wszystko, czego dotyka, jest również smakiem, musi jej być

jeszcze trudniej ocenić, co jest nią, a co światem. A mimo to jakąś formę samoświadomości – nawet jeśli to tylko rodzaj instynktu – mucha musi mieć, bo natychmiast odlatuje, gdy tylko coś się do niej zbliży.

To kompaktowe, ekstremalnie wyczulone i szybkie stworzenie żyje tylko pół roku, w sezonie letnim, i jeśli weźmiemy pod uwagę wyjątkowo złożoną budowę ciała i strukturę cech, tak krótka egzystencja wydaje się pozbawiona sensu. Jednak po bliższym zastanowieniu wcale tak nie jest, bo właśnie ten brak tożsamości, to, że ich samoświadomość jest tak słaba, że niemal zlewa się w jedno z przestrzenią, w której się znajdują, sprawia, że jakakolwiek akumulacja doświadczenia jest niemożliwa, dzięki czemu muchy są całkowicie wymienne. Jeśli chce się zrozumieć istotę muchy, wystarczy uzmysłwić sobie jedno: dla muchy nie ma znaczenia, kto jest muchą, byle tylko była to mucha. Dlatego kiedy zbliża się lato, wychodzą nieporadnie z ciepłych kryjówek, w bezkresnym, liczącym miliony lat ciągu, i zaczynają okupować nasze kuchnie i salony. Może właśnie to miał na myśli Leonardo da Vinci, gdy zapisał w swoich notatkach, że muchy są duszami zmarłych. Zmarli tracą własne ja, a bez własnego ja są jedynie przestrzenią zjednoczoną ze światem, w której przez całą wieczność będą się rodzić i umierać – jak muchy.

Przebaczenie

Postępu nie można zmierzyć, gdyż wartość zmian jest względna i zależy całkowicie od miejsca, z którego są obserwowane i interpretowane. Jeśli chodzi o świat materialny, same zmiany są bezsprzeczne, na przykład to, że w pewnym momencie ludzie przeszli od łowiectwa i zbieractwa do uprawiania ziemi i hodowli zwierząt i zaczęli wieść osiadły tryb życia. Albo to, że w pewnym momencie zaczęli szyc ubrania za pomocą maszyn, co radykalnie zmieniło strukturę ekonomiczną, ponieważ produkcja towarów nie była dłużej ograniczona wydolnością pojedynczego człowieka lub pojedynczego gospodarstwa domowego, gdzie własnym sumptem produkowało się to, co było potrzebne, a ewentualną nadwyżkę sprzedawano lub wymieniano na inne towary, lecz została oddzielona od miejsca, i ogromny potencjał bezgraniczności tkwiącej w systemie pieniężnym został wyzwolony.

Wspomniane zmiany są oparte na faktach, ale ich ocena już nie. Jeśli chodzi o postęp w świecie niematerialnym, mającym związek z relacjami międzyludzkimi, nie tylko wartość zmian jest względna, lecz także same zmiany. Dzieje się tak, ponieważ wszystko, co dotyczy ducha i duszy, jest widoczne jedynie w pośredni sposób i dlatego musi być interpretowane już w punkcie wyjścia. A poza tym ludzie, których dotyczą zmiany, jeśli nastąpiły dawno temu, operowali innym językiem, innymi figurami retorycznymi niż nasze. Nie jest bowiem wcale pewne, czy identyczne zdanie wypowiedziane, powiedzmy, w Norwegii w 976 roku, a następnie powtórzone w tym samym miejscu w roku 1976, miałyby to samo znaczenie. Możemy zakładać, że ówcześni ludzie byli tacy jak my, ale pewności mieć nie możemy. Możemy wykopywać ich łodzie, żeby dowiedzieć się, jak podróżowali. Możemy wykopywać fundamenty ich domów, żeby dowiedzieć się, jak mieszkali. Możemy badać ich DNA, żeby dowiedzieć się, skąd pochodzili. Ale nigdy nie dowiemy się, jaki był ich stosunek do przebaczenia ani co na ten temat myśleli.

Patrząc stąd, z odległości ponad tysiąca lat, wydaje się, że w starym społeczeństwie plemiennym funkcjonowały zupełnie inne zasady, że w ich systemie kulturowym przebaczenie zwyczajnie nie istniało lub stanowiło anomalię. Jeśli człowiek został znieważony przez członka rodziny lub członek rodziny zachował się podle lub niestosownie, nie mszczono się, ale również nie wybaczano, jeśli przebaczenie rozumiemy jako aktywne działanie, jako akt łaski. Bardziej można chyba mówić o akceptacji wynikającej z postrzegania charakteru winowajcy jako wielkości niezmiennej – taka już jest, taki już jest. Jeśli człowiek został znieważony przez kogoś spoza rodziny, słowem lub czynem, rozważano zemstę, przy czym rozważaniom tym nigdy nie towarzyszyła myśl, by winowajcy

przebaczyć lub nie, zastanawiano się wyłącznie nad ewentualnymi konsekwencjami, wszyscy znali bowiem niszczącą siłę zemsty, w tym zemsty krwawej. Czasem mądrzej było jej zaniechać, oczywiście jeśli można to było uczynić bez utraty twarzy. Utrata twarzy była najgorszą rzeczą, jaka mogła człowieka spotkać, gorszą od śmierci, która w pewnych okolicznościach stanowiła jedyny sposób na odzyskanie dobrego imienia.

W takiej kulturze pojęcie przebaczenia musiało być rewolucją wywracającą do góry nogami cały ugruntowany system wartości. Wyrzuciłeś mi krzywdę, ale ja odrzucam zemstę i wybaczam ci. Wiele osób uważa, że to był prawdziwy postęp, że Chrystusowa koncepcja nadstawiania drugiego policzka była rewolucją człowieczeństwa. Rzecz w tym, że walka jest ta sama i wynik się nie zmienił, zmieniły się tylko środki stosowane przez władzę. Bo przecież słaby nie może przebaczyć silnemu, to nie ma sensu. Tylko silny może przebaczyć. Przebaczyć komuś oznacza poniżyć go, sprawić, że straci twarz. Jeśli przebacza się komuś i ten ktoś nie traci przez to twarzy, nadal pozostaje się ofiarą, kimś słabym i przegranym. Tajemnica przebaczenia polega na tym, że tworzy ono przestrzeń, miejsce głęboko we wnętrzu człowieka, gdzie inni ludzie nie mają władzy, gdzie inni nic nie znaczą, i kiedy dotrze się do tego miejsca, człowiek odnajduje siłę, której nikt nie jest w stanie mu odebrać. Właśnie ta siła potrafi rzucić winowajcę na kolana dzięki przebaczeniu.

Guziki

Guziki, te małe krążki, których używamy, by spiąć ubranie wokół ciała, należą do tak starej technologii, że rzadko myślimy o nich w tym kontekście. Guziki istnieją poza strefą wynalazków, nowinek technicznych i postępu, i chociaż z biegiem lat pojawiały się nowe metody łączenia elementów garderoby, na przykład zamek błyskawiczny i rzepy, guziki wciąż trzymają się mocno. Dzieje się tak dlatego, że w przypadku guzika stosunek formy do funkcjonalności jest idealny, nie ma miejsca na żadne udoskonalenia. Dzisiejszy guzik jest niemal identyczny z tym z XV wieku. Co więcej, istnieje ogromna pokusa, by twierdzić, że tak długo, jak długo żyją ludzie, będą istnieć guziki – ale tego, rzecz jasna, nie możemy wiedzieć, bo chociaż guzik jest doskonały i nie wymaga dalszych ulepszeń, może odejść do lamusa – kiedyś, w odległej przyszłości, kiedy cywilizacja, taka jaką znamy, zniknie. Co prawda trudno to sobie wyobrazić, bo przecież niecywilizowani ludzie przyszłości również muszą się w coś ubierać, a skoro ich ciała, podobnie jak nasze, będą miały kształt walca, oni także będą musieli znaleźć sposób, by spiąć ubranie, a kiedy już je połączą albo wepną w nie, na przykład, patyk lub kość, a po drugiej stronie zaczepią o pętelkę, prawdopodobnie pozostanie już tylko kwestią czasu, kiedy dostrzegą korzyść w krążkach, albo stanie się to wtedy, gdy ich kultura osiągnie taki stopień cywilizacji, że zaczną cenić sobie wstrzemięźliwość i kontrolę – bo na tym między innymi polega istota guzików – i wymyślą ubranie z jedną bądź też wieloma małymi podłużnymi dziurkami po jednej stronie i odpowiednią liczbą małych krążków po drugiej – z kości, brązu, żelaza, bakelitu lub plastiku, w zależności od tego, ku jakim materiałom będzie skłaniać się społeczeństwo.

Gdy byłem mały, moja matka miała dużą szkatułkę pełną guzików. Dla dziecka było to jak mała skrzynia ze skarbami. Okrągły kształt sprawiał, że guziki przypominały monety, a mnogość kolorów błyszczących w świetle lampy przywodziła na myśl kamienie szlachetne. Szafiry, rubiny, topazy, szmaragdy. A jak cudownie brzęczały, gdy zanurzyło się w nie palce! Poczucie bogactwa, jakie dawały, było ironią, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że w mowie potocznej guziki najczęściej były przykładem czegoś przeciwnego, jak w wyrażeniu „guzik z pętelką” czy „guzik kogoś obchodzić”^[3], oraz to, że skrzynka z guzikami była wyrazem oszczędności: używano jej, by móc zastąpić oderwane guziki, a tym samym utrzymać ubranie dłużej „w obrocie”. Guziki mają nieskończenie różne kształty i kolory; pamiętam, jak matka przetrząsała zawartość szkatułki w poszukiwaniu guzika podobnego do tego, który odpadł. Jej matka również musiała tak robić i jej babka, i prababka. Te ruchy, palce dotykające mnóstwa gładkich guzików, by w końcu przyłożyć jeden z nich do materiału i wsunąć igłę

w jedną z trzech lub czterech dziurek, z nitką zwisającą ku podłodze jak długi cienki ogon, były dziedzictwem, czymś, co łączyło moją matkę z przeszłością, życiem na norweskiej wsi przez całe stulecia, zanim przyszliśmy na świat.

Moje dzieci dorastają bez skrzynki z guzikami i nigdy nie widziały, jak ich rodzice szyją, ponieważ teraz, kiedy odleci guzik, po prostu wyrzucamy ubranie i kupujemy nowe. Nie lubię tego; za każdym razem, gdy to się dzieje, ogarnia mnie lekki smutek, bo nie tak powinno być. Tylko dlaczego? Czy bardziej cenię oszczędność i biedę od dostatku? Tak, w pewnym sensie muszę tak czuć. Dostatek jest zły, skromność jest dobra – to również część mojego dziedzictwa. Zresztą niewiele wyobrażeń reprezentuje cywilizację lepiej niż to. Bo jeśli jest coś, co charakteryzuje naturę, to właśnie dostatek, dzikie bogactwo liści i traw, płatków, łądyg i gałęzi, bezwstydnego szastanie chlorofilem, a guzik, schludny i wstydlivy, choć mocno spinający koszulę, jest całkowitym przeciwieństwem natury. Staje się to oczywiste za każdym razem, kiedy człowiek owładnięty pożądaniem, z kluchą w gardle i pulsującym narządem płciowym, nie jest w stanie zaczekać, aż wszystkie guziki zostaną odpięte, lecz chwyta koszulę lub bluzkę i rozrywa ją jednym gwałtownym ruchem, by dostać się do tego, co bezkresne, dzikie i dostatnie. Właśnie to stanowi zawsze największą pokusę w królestwie wszystkiego, co zapięte po samą szyję, ponieważ jest powstrzymywane i regulowane zasadą guzików. Zasada ta nie wynika z żadnej idei, lecz z codziennej pracy rąk, które powoli wpychają bokiem małe krążki do niewielkich otworów w materiale, a kiedy już znajdą się po drugiej stronie, wyrównują je, tworząc coś w rodzaju zamka. W ten sposób technika, którą ćwiczymy każdego dnia, służy nam do ukrycia ciała pod ubraniem i uczy nas opanowania.

Termosy

Stalowy termos wygląda tak, jakby został zaprojektowany po to, by zostać wystrzelonym, i kształtem przypomina granat lub łuskę naboju. Jest bardzo ładny. Nie uważam granatów ani łusek naboju za ładne, może dlatego, że zawsze występują w dużej ilości i jest w nich coś maszynowego i jednowymiarowego. Termosy zaś prawie zawsze występują pojedynczo i w silnie kontrastującym z nimi otoczeniu: na dnie miękkiej skórzanej torby, w bocznej kieszeni plecaka, na stole w baraku budowlanym. Konstrukcja jest prosta: wydrążony metalowy cylinder, którego wewnętrzna ściana jest zbudowana z materiału termoizolacyjnego, zamykany od góry korkiem i dodatkową pokrywką. Mimo że jest twardy, błyszczący i przypomina pocisk, stalowy termos w sposób naturalny i niemal niewidoczny zlewa się z otoczeniem. Wygląda na lekko zawstydzonego, prawdopodobnie ma to związek z zadaniem, które spełnia: przechowuje ciepłe napoje, zwłaszcza kawę, nasz najbardziej demokratyczny i bezklasowy napój; nie dość, że wszyscy są w niej rozsmakowani, to jeszcze raczą się nią o każdej porze dnia. Zdarzają się jednak sytuacje, kiedy termos nie wtapia się w tło. Można wyjąć go w stołówce zakładowej i nikt nawet nie mrugnie okiem, ale wystarczy sięgnąć po niego podczas wizyty u sąsiadów, a ściągnie na siebie uwagę wszystkich obecnych. Dzieje się tak dlatego, że termos reprezentuje coś w rodzaju przedłużenia własnego domu w świecie. Nie zagraża otwartym społecznym „światlicom”, wspólnym przestrzeniom, w lesie, na polu, w środkach transportu publicznego, w miejscu pracy, za to w innych domach obecność obcego termosu stanowi wyzwanie dla ich suwerenności i prawa do samostanowienia. Chyba nie wniosłeś własnej kawy do naszego salonu? W ten sposób termos zajmuje szczególne miejsce wśród artykułów gospodarstwa domowego, które dzieli jedynie z torbą termiczną, kolejnym sprzętem stworzonym po to, by utrzymywać stałą temperaturę, kiedy przebywamy poza naszymi czterema ścianami. Podczas gdy łypatki, rondle, dzbanki na wodę, łyżki cedzakowe, plastikowe miski, trzepaczki i blachy piekarnika pozostają w kuchni i w innym otoczeniu są zdecydowanie nie na miejscu – wystarczy wyobrazić sobie patelnię w łazience lub mikser na trawniku – termos i torba termiczna znajdują zastosowanie dopiero poza kuchnią, w której są tylko przechowywane. Wielkość i ograniczone pole manewru sprawiają, że torba termiczna stanowi raczej anomalię w codziennym życiu, sygnalizuje coś wyjątkowego i w żadnych okolicznościach nie zlewa się z otoczeniem. Co innego termos. Jest zgrabny i schludny, pasuje do kształtu dłoni, jest samowystarczalny, ponieważ pokrywka służy jednocześnie jako kubek, i z czasem narasta wokół niego mnóstwo skojarzeń i wspomnień. Bo termos zawsze nam towarzyszył: podczas przejażdżek samochodem, wypraw łódką,

spacerów po lesie i wspinaczek górskich, i łączył to, co na zewnątrz, z tym, co w domu, chociaż nigdy sobie tego nie uświadamialiśmy. Dopiero później, gdy przeglądamy zdjęcia z tamtych lat, staje się dla nas jasne, że termos stoi w centrum każdej fotografii jak rodzinny totem. W dyskretny sposób wizualizuje to, co niegdyś nas łączyło, a teraz zostało przerwane.

Wierzba

Przed oknem rośnie wierzba. Jej najniższą część stanowi stary pień, który ma niecały metr wysokości i jest pęknięty na pół; szczelina sięga aż do ziemi. Pień sprawia wrażenie martwego, wewnątrz szczeliny jest miękki, czarny i pełen dziur, na szczycie zaś postrzępiony jak drzewo opanowane przez termyty. Kora jest sucha i popękana, przypomina skorupę pozbawioną jakiegokolwiek powiązania z tym, co okrywa. Jednak z samego wierzchołka pnia wyrastają trzy krótkie grube ramiona i każde z nich kończy się czymś w rodzaju guza, z którego wystrzeliwiają miriady cieńszych gałęzi o gładkiej, świeżej korze. Jest listopad i wierzba będzie tak wyglądała przez całą zimę, dokładnie tak jak została przycięta jesienią. Pozbawiona liści, z krótkimi gałęziami, chropowata i pełna węzłów, wygląda jak wnętrze czegoś, co zostało wyjęte do naprawy, a następnie zostawione na deszczu i wietrze. Jak maszyna, w której węzyki i rurki są połączone ze wszystkimi małymi wyrostkami, albo szkielet jakiejś konstrukcji. Drzewa zimą często porównuje się do płuc, ponieważ płuca i bezlistne rozgałęzienia drzew podlegają tej samej zasadzie formy: każdy pień daje początek nowemu, coraz cieńszemu, aż powstaje gęsta sieć gałęzi. Wierzba za oknem nie przypomina żadnego płuca, za to trzy guzy wykazują pewne podobieństwo do serca, a właściwie jego modelu, z odciętymi głównymi żyłami i aortami, które wystają z mięśnia wielkości pięści. Wierzba nie należy jednak do tego, co wewnętrzne, nie porusza niczym innym poza sobą, nie utrzymuje niczego innego przy życiu. Kiedy tak stoi przez całą zimę, niezmienna i podobna do szkieletu, a potem nagle napełnia się życiem – gałęzie zaczynają rosnać i pokrywają się liśćmi, co dzieje się szybciej niż u innych drzew – łatwo sobie wyobrazić, że życie jest czymś, co przez nią przepływa, że wierzba jest czymś w rodzaju tuby, przez którą przeciska się życie, by wiosną triumfalnie zmanifestować swoje istnienie w bogactwie zielonych liści, a latem zwisać gałęziami łukowato ku ziemi, okrywając pień suknią z gęstego listowia.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa martwe drzewo z nowymi pędami stanowiło centralny symbol, wyrażało zmartwychwstanie, ale sam symbol jest dużo starszy i pierwotnie reprezentował ciągłość życia. Jest to nie tylko pokorniejszy obraz, ponieważ to, co indywidualne, jest tu nieobecne, nie tak jak w chrześcijaństwie, lecz również prawdziwszy. Wierzba jest pochodnią życia, tak jak my: kiedy życie w nas gaśnie, nasze dzieci niosą je dalej.

Nie mam pojęcia, ile lat ma nasza wierzba, ale zgaduję, że jest mniej więcej w wieku mojej matki, może dziesięć lub dwadzieścia lat starsza. Gdy się tutaj przeprowadziliśmy, jej pień był cały. Pewnego dnia odwiedził nas chłopiec, mały dzikus, wspiął się na drzewo, zawisł na gałęzi i wtedy pień pękł na pół. Związałem go sznurem, myślałem, że może pękniecie się zrośnie, ale tak się nie stało.

Następnej wiosny soki mleczne trysnęły przez dwa korytarze zamiast jednego, a kaskada liści pojawiła się w dwóch miejscach, prawie tak jak wtedy, gdy część uczestników domówki przenosi się wieczorem do kuchni i rozkręca tam alternatywną imprezę.

Muszle klozetowe

W kształcie muszli klozetowej jest pewna gracia i elegancja, chociaż sama muszla jest ciężka i masywna i stoi na podłodze w łazience niczym głaz. Gracja wynika z tego, że muszla, wąska u dołu, rozszerza się stopniowo ku górze, w związku z czym wygląda trochę tak, jakby przeczyła sile ciężenia, albo przynajmniej się jej opierała. Ale jak w przypadku wielu naszych najpiękniejszych rekwizytów muszla klozetowa nie powstała po to, by cieszyć oko; jej kształt jest dostosowany w stu procentach do funkcji, która nie ma nic wspólnego z estetyką: do muszli toaletowej sikamy i robimy kupę, a czasem również wymiotujemy. I dlatego jej najważniejszą cechą jest funkcjonalność. To, że muszla jest szeroka u góry, a wąska na dole, wynika z faktu, że ma przede wszystkim wyprowadzać nasze ekskrementy z ciała, a następnie z domu w możliwie najefektywniejszy sposób, a każdy, kto wlewał jakąś ciecz do butelki, dzbanka lub zbiornika, wie, że kształt lejka jest idealny, ponieważ zapobiega brudzeniu i rozlewaniu. I tak samo jak lejek nigdy nie jest ostatecznym celem płynów, tak nie jest nim również muszla, stanowi jedynie etap przejściowy, coś w rodzaju hali tranzytowej odchodów. To, że jest wykonana z masywnej porcelany, która charakteryzuje się gładką, twardą powierzchnią, i że tę powierzchnię od wewnątrz spłukuje woda, jest podyktowane wymogiem, by nic się do niej nie przyczepiało. Wewnątrz muszli nic nie może dłużej przebywać ani się w niej rozprzestrzeniać, wszystko musi płynąć dalej. Nad muszlą króluje zbiornik na wodę, również porcelanowy, często prostokątny, o lekko zaokrąglonych brzegach. Na górze znajduje się uchwyt dźwigni spustowej: naciśnięcie przycisku powoduje otwarcie małej śluzy i woda ze spłuczki tryska w dół, wokół wewnętrznej krawędzi muszli. W starszych modelach zamiast przycisku obok muszli znajduje się dźwignia kształtem przypominająca drążek zmiany biegów, z kulą z bakelitu na końcu, a w jeszcze starszych modelach spłuczka może być montowana osobno pod sufitem – wodę ze zbiornika uwalniamy, pociągając za rączkę na krótkim łańcuszku. Na dnie lejka, w stopie muszli, znajduje się woda, lekko zielonkawa na tle porcelanowej bieli, i kiedy wpadają do niej siku i kupa, a następnie papier toaletowy, który szybko nasiąka wilgocią i opada na dno, wyginając się powoli w łuk, uruchamiamy spłuczkę, a wtedy chlustająca woda spłukuje wnętrze muszli i porywa wszystko, co leży na dnie, i przepycha przez rury, które wyprowadzają to na zewnątrz, do sieci kanalizacyjnej biegnącej pod ulicą. Tak właśnie działa muszla klozetowa, ten łazienkowy łabędź.

Karetki pogotowia

W ciemności na równinie niebieskie światło karetki pogotowia jest widoczne z odległości wielu kilometrów. Nie przypomina żadnego innego światła w okolicy, ani żółtego płynącego z domów, ani czerwonego mrugającego na szczytach wiatraków i masztów telefonicznych. Światło karetki wygląda jak wyładowania elektryczne i szybko się przemieszcza. Ukazuje się w oddali, znika na kilka sekund, a kiedy znów się pojawia, jest znacznie bliżej. Kiedy ciemność jest gęsta, porównuję to czasem do wnętrza mózgu: nieruchome światła gospodarstw pochodzą ze skupisk komórek kierujących podstawowymi funkcjami, jak oddychanie czy przemiana materii, a niebieskie światło, które pędzi przed siebie, to nagła idea, przerażająca myśl lub marzenie senne. Wyładowanie elektryczne rozchodzi się między komórkami, staje się coraz bliższe, a ja zjeżdżam na pobocze spowitej mrokiem drogi, ponieważ karetka jest już zaledwie kilkaset metrów ode mnie. Jedzie szybko, bez włączonych syren alarmowych, i to właśnie pogłębia nastrój grozy: moc światła zostaje niejako spotęgowana ciszą. Nie wydając najmniejszego dźwięku, karetka mknie tuż obok i znika w ciemności. W ciągu dnia wszystko wygląda inaczej, nie tylko dlatego, że światło słoneczne osłabia niebieskie błyski, lecz również dlatego, że otoczenie, rozległe pola ze skupiskami drzew i zabudowań gospodarczych, łagodne zbocze ciągnące się do nadmorskich skał i samo morze w pewnym sensie łączą się z karetką – metaliczna biel na tle zieleni i szarości – i nadają jej sens: ktoś jest ranny albo chory i musi zostać przewieziony do szpitala. Ale również w ciągu dnia karetka pogotowia może wywołać nieprzyjemne uczucie, które nie ma nic wspólnego z tym, co dzieje się w jej wnętrzu, lecz z tym, co powoduje, kiedy się pojawia: samochód za samochodem zjeżdżają na bok i zatrzymują się, ustępując jej miejsca. To wygląda tak, jakby woda rozstępowała się na dwie strony, a kiedy karetka mknie przez otwarty tunel, z niebieskim światłem i włączoną syreną, można odnieść wrażenie, że czas również staje na moment w miejscu, że wszystko poza tym jednym ruchem zamiera i właściwie nie istnieje, aż ta chwila mija, auta powoli włączają się znów do ruchu i w ciągu kilku sekund wszystko wraca do normy, jakby nic się nie wydarzyło. W karetce czas płynie inaczej. Człowiek, który w niej leży przypięty do noszy, nie czuje prędkości, nie zwraca uwagi na inne pojazdy, przebywa we własnym czasie, długim jak jego życie, które właśnie zatacza koło. Tej gorączkowej aktywności, która go otacza, z plątaniną rurek, przewodów, instrumentów, masek i zastrzyków, również nie dostrzega. W jego własnym czasie nie istnieją minuty ani sekundy, miesiące ani lata. W jego własnym czasie jesteśmy jak drzewa, ciemne i nieruchome, w tak niskiej częstotliwości czasowej, że żaden ruch nie zapada w pamięć poza tymi największymi, jak zmiana pór roku, a nawet te

jedynie w niewielkim stopniu. W ten sposób umierający pędzą drogami w karetkach pogotowia, tak wolno, jak wolno rosną drzewa.

August Sander

Przez cały ranek siedziałem i przeglądałem główne dzieło Augusta Sander, *Ludzie XX wieku*, składające się z setek portretów, podpisanych nie nazwiskami, ale zawodami, i podzielonych na klasy społeczne: chłopci, robotnicy, mieszczaństwo. Fotografie są absolutnie fascynujące, każda z osobna i wszystkie razem. Nie mogę się napatrzeć na twarze ludzi żyjących w czasach pierwszej wojny światowej. Wiele z nich ma nieprzenikniony, jakby oniemiały wyraz, a mimo to mówią tak wiele. Jak to możliwe?

Zdjęcie wycina fotografowany obiekt nie tylko z czasu, lecz także z przestrzeni, i izoluje go od wszelkich powiązań ze światem zewnętrznym. Napięcie malujące się na portretowanych twarzach wynika z tego, że wszystkie twarze, wszyscy ludzie są naładowani emocjonalnie, to zaś, co ich naładowało, jest niewidoczne. Deficyt didaskaliów stwarza nastrój wyjątkowej tajemniczości, otwiera zamknięte twarze, ale nie wiemy na co.

Twarze chłopów są często grubo ciosane, tym bardziej, im są starsi; wynika to oczywiście z tego, że całe życie spędzają na dworze, na słońcu, wietrze, deszczu i mrozie. Wielu z nich ma w sobie również jakąś zawziętość, jakby przywykli do odrzucania tego, co spotykają na swojej drodze – albo do znoszenia tego. Dotyczy to także wielu twarzy całkiem młodych kobiet i mężczyzn, gładkich i nietkniętych przez czas. Kontrast między nimi a twarzami osób prowadzących inny tryb życia, na przykład magnatów przemysłowych lub artystów plastyków, jest uderzający. Oblicza tych drugich nie są toporne, lecz wysublimowane, nie zacięte, lecz otwarte. Niemal automatycznie pojawia się myśl, że również ich wnętrza muszą się różnić. To, co ludzkie, jest jednakowe dla wszystkich, ale życie, które wiemy, przenika nas na różne sposoby. Uczucia, myśli i wyobrażenia odblokowują się i zbijają w ciasną gromadę w różnych miejscach w zależności od tego, gdzie i jaki napotkają opór.

Niektórzy z tych ludzi byli zdradliwi, inni lojalni, jedni uczciwi, drudzy kłamliwi, jedni bogobojni, inni hedonistyczni. Nie da się tego wyczytać ze zdjęć. Wszystko, co poruszało się między nimi, zniknęło. A mimo to czujemy wyraźnie, kim są. Co więc widzimy, patrząc na nich?

Gdyby jakiś fotograf zebrał nas wszystkich, całą rodzinę, na trawniku przed domem i zrobił nam zdjęcie, i to zdjęcie wylądowałoby w jakiejś książce, którą ktoś otworzyłby za sto lat, jak wiele z naszego życia, które toczy się tu i teraz, byłby w stanie wyczytać z fotografii?

Przyglądalibyśmy mu się w milczeniu. Vanja, Heidi, John, Linda, Karl Ove. Wszystko, co istnieje między nami i co jest właściwie jedyną wartością, która ma dla nas znaczenie, byłoby niewidoczne. I dlatego zobaczyłby to, czego my sami nie

dostrzegamy: że jesteśmy twarzami wśród twarzy, ciałami wśród ciał, ludźmi wśród ludzi. I że nasze życie jest wypisane na naszych twarzach i w naszych ciałach językiem tak obcym, że nawet nie zdajemy sobie sprawy, że to język.

Kominy

Z okna, przy którym siedzę i piszę, widzę nasz dom. Ma dwa kominy: jeden wystaje z dachu nad kuchnią, drugi z najdalej położonego pokoju, którego używamy jako gabinetu, i w którym kilka lat temu siedziałem i pisałem. Kominy przypominają zęby, zarówno w sposobie, w jaki wystają z dachu, w innym, twardszym materiale, jak i w tym, że tylko ich najwyższa część jest widoczna. Kominy przechodzą w dół przez dach, a w pokojach leżących niżej rozszerzają się, tak że na samym dole, w kuchni i gabinecie, tworzą całą murowaną ścianę. Różnica polega na tym, że przez jej jamy nie przebiegają nerwy, lecz dym, i w przeciwieństwie do zęba komin jest przez cały czas otwarty. W takie dni jak ten, kiedy ziemię przykrywa szron, a mróz maluje róże na szybach, dym sączy się z komina powoli, czasem prawie niezauważalnie, jak drżenie w błękanie, czasem jak gruba biała zaspą śnieżną, pełną wybrzuszeń, a czasem jest szary, cienki i spłaszczony, podobny do kawałka nieskończenie delikatnego materiału.

Komin stanowi zaledwie jeden z otworów domu. Ale podczas gdy drzwi są otworem przeznaczonym dla mieszkańców, bez względu na to, czy są to dorośli, dzieci, koty czy psy, i dla wszystkich rzeczy, które domownicy wnoszą i wynoszą z domu, i podczas gdy okna otwiera się po to, by wpuścić do środka świeże powietrze, otwór w kominie jest częścią zamkniętego systemu, którego celem jest, aby to, co w nim krąży, nie wdzierało się do domu, lecz trzymało z dala od niego. Na jednym końcu tego systemu stoi piecyk, mały żaroodporny pokoik z okienkiem. Tam wkładamy drewno opałowe i podpalamy je, a kiedy zaczyna płonąć, zamykamy drzwiczki; w ten sposób dym zostaje wyprowadzony w górę przez ścianę kominową – która jest murowana w jednym kawałku i która, w przeciwieństwie do wszystkich innych pokoi w domu, nie została podzielona podłogami pięter na dwie lub trzy części – aż w końcu wydostaje się na zewnątrz przez najwyższy element wystający z dachu, ten, o którym myślimy, myśląc o słowie „komin”.

Komina nie da się obserwować w całości, chyba że patrzymy na spalony dom, wówczas jest często jedynym elementem pozostałym po pożarze. Komin opanowuje i kontroluje ogień, chociaż ten robi, co może, by spalić również jego, kiedy potężne siły ognia zostają uwolnione, wściekłe, że przez te wszystkie lata były we władaniu komina, podobnie jak dziecko, które po zdemolowaniu pokoju rzuca się z pięściami na swojego przybranego ojca, tego zwykłego, nudnego człowieka, który w kółko powtarza, jak ważne jest opanowanie i kontrola nad popędami. Ogień nie jest jednak w stanie pokonać komina, nie potrafi zadać mu żadnych obrażeń, żadnej, nawet najmniejszej rasy, więc dogorywa u jego stóp. Wtedy ściana kominowa wznosi się triumfalnie ku niebu znad czarnego, tłącego się

pogorzeliska: nareszcie wszyscy mogą zobaczyć, co potrafi.

Ptaka drapieżny

Tej jesieni wstaję wcześniej, o czwartej nad ranem, gdy na zewnątrz jest jeszcze zupełnie ciemno i cicho. Z okna rozciąga się widok na ogród i dom. Jest listopad, od wielu tygodni niebo jest zachmurzone, więc nie widać żadnych gwiazd. Światło dwóch lamp wiszących na otynkowanej na biało ścianie pada półokręgiem na kamienną ścieżkę i opuszczone klomby, które w ciemności świecą wyraźnie i jednocześnie mgliście. Słucham *Niemieckiego Requiem* Brahmsa i przez ponad dwie godziny wpatruję się w pusty ekran komputera, paląc i pijąc kawę. Zaczyna świtać. Nie mam wrażenia, że nadciąga światło, lecz że ciemność jest w odwrocie. Niebo nad dachem domu blednie, już nie jest czarne, ale szaroczarne, natomiast szpaler drzew rosnących wzdłuż drogi tuż przy cmentarzu, jakieś sto metrów dalej, zatrzymuje ciemność, dopiero potem po kolei wylaniają się z mroku. Nie mają już liści, same gałęzie, grube przy pniu, cienkie i najcieńsze tam, gdzie wiosną i latem znajduje się korona, której teraz nie ma – istnieje tylko jako wspomnienie albo nadzieja. W końcu nastaje dzień. Trawa jest zielona, drewniana ściana czerwona, gałęzie wierzby żółto-brunatne, stołek za drzewem intensywnie niebieski. Jeszcze nic nie napisałem, ekran przede mną pozostaje pusty, a ponieważ jest sobota, wkrótce będę musiał wrócić do reszty rodziny. Wtedy coś się dzieje za oknem. Ptak drapieżny pikuje gwałtownie, jest jak eksplozja ruchu, która wymazuje wszystko inne. Ląduje tuż obok wierzby, zaledwie kilka metrów ode mnie. Z całej siły uderza dziobem w trawę, niesłychanie agresywnie, łopocząc przy tym potężnymi skrzydłami, jakby dla utrzymania równowagi. Serce bije mi coraz mocniej. Oczy drapieżnika skierowane prosto przed siebie, jakby nie były powiązane z ruchem głowy, silne stopy i porastające je pióra, żółte pazury i żółty dziób. Duży, zagięty, ostry. Nagle ptak odwraca się i wzbija w górę, uderza kilka razy skrzydłami i już jest nad dachem domu. Stoję nieruchomo. Ten wir ruchów, który przyćmił wszystko inne i od którego nie sposób było oderwać wzrok, coś mi przypomniał. Ale co? Po chwili na to wpadłem. Moja pierwsza wizyta w Galerii Narodowej w Oslo. Miałem chyba siedemnaście lat. Chodziłem od sali do sali, przyglądałem się obrazom, podobały mi się prawie wszystkie, zwłaszcza narodowy romantyzm, były wyjątkowe, fotorealistycznie piękne, a kolory wspaniałe. W końcu wszedłem do sali, w której wisiały obrazy Muncha. Wszystko, co do tej pory widziałem, zbladło w mgnieniu oka. O to właśnie chodziło. Wyjątkiem była sztuka. Wyjątek otwierał chwilę, przełamywał czas i stwarzał obecność, w której wirze wszystko zyskiwało znaczenie. Wyjątkiem jest światło, ono nie rzuca cienia. Ptaki za oknem, te, które zawsze tu są, sroki, drozdy, wróble, zyskały nową ostrość.

Cisza

Jedną z cech języka jest to, że potrafi nazwać rzeczy, których nie ma. W ten sposób możemy podtrzymywać wszystko, co znajduje się poza naszym polem widzenia w świecie społecznym, oraz wszystko, co wykracza poza nasz horyzont czasowy, zarówno to, co było wczoraj, jak i to, co stanie się jutro. Niewielkie wzniesienie, które teraz, kiedy siedzę przy biurku, znajduje się poza zasięgiem mojego wzroku, oczywiście istnieje zawsze, ale jego istnienie, które właśnie sobie wyobraziłem, jest wyimaginowane. Ty, który to czytasz, nie możesz wiedzieć, czy ten pagórek rzeczywiście istnieje, chociaż widzisz go teraz oczami wyobraźni, co więcej: nie możesz także wiedzieć, czy ja, który to piszę, istnieję – być może czytasz te słowa wiele lat po tym, jak zostały zapisane, a ja już nie żyję. Ta potężna eksploatacja świata życia, odbywająca się za pomocą języka i w nim podtrzymywana, stanowi być może najważniejszą cechę ludzkości. Bez języka świat by zarósł: każde słowo jest jak niewielka polana. Ale może to również prowadzić na manowce, w tym sensie, że to, co nie istnieje – nie mam teraz na myśli tego, co zmyślane, hipotetyczne czy wyimaginowane, lecz to, co jest przeciwieństwem istnienia, czyli nieistnienie – otrzymuje niemożliwy status w języku, zmieniającym to, co jest niczym, w coś – dzięki samemu tylko nadaniu mu nazwy. „Nicość” to coś, co nie istnieje i co jest niczym, ale kiedy napiszemy lub wymówimy to słowo, zaczyna ono istnieć i być czymś: nicością. Cisza również jest takim słowem: oznacza nieobecność dźwięku i nicość. Rzadko jednak go używamy, mając na myśli jego krańcowe konsekwencje, najczęściej słowo „cisza” stosujemy, stopniując natężenie dźwięku, i łączymy je ze spokojem i odpoczynkiem. „Jak tu cicho i spokojnie”, mówimy, kiedy wyjeżdżamy za miasto i zgiełk uliczny cichnie, albo kiedy siadamy na leśnej polanie i wszystkie dźwięki związane z wieczną potrzebą działania i nieustanną krzątaniną znikają. Jedyne, co wtedy słyszymy, to śpiew ptaków i szum drzew na wietrze, nazywamy to ciszą lasu. W bezwietrzny zimowy dzień nie słysząc nawet tego. Ta cisza robi coś z krajobrazem, a poprzez krajobraz – z nami. Wszystkie dźwięki są związane z konkretną chwilą, należą do terażniejszości, do tego, co zmienne, natomiast cisza jest związana z niezmiennością, w której nie istnieje czas. Na tym polega wieczność, ale także nicość, które są dwiema stronami tego samego. Co to oznacza, zrozumiałem natychmiast, gdy obejrzałem film *Shoah* opowiadający o Holokauście; jeden z pracowników kolei opowiadał o tym, jak pewnego popołudnia stacja wypełniła się wagonami, w których przewożono deportowanych Żydów, dzieci, dorosłych i starców, i jak przez cały wieczór po okolicy rozchodziły się wydawane przez nich dźwięki. Jakie to były dźwięki – tego nie powiedział, ale domyślałem się, że był to płacz dzieci, głosy mężczyzn i kobiet, krzyki,

nawoływania, brzęk talerzy, kto wie, może nawet śmiech. Gdy następnego dnia wczesnym rankiem jechał na rowerze do pracy, wagony nadal tam stały, ale wokół panowała całkowita cisza. Nie słychać było ani jednego dźwięku. Dopiero gdy usłyszałem o tej ciszy, zrozumiałem, co oznaczał Holokaust, choć trwało to zaledwie kilka sekund, po czym znowu zniknęło. Tak wiele aspektów życia i tego, co żywe, wiąże się z dźwiękiem: od dudniących o podłogę stóp biegnących dzieci, ich płaczu i okrzyków radości, do miarowego oddechu nocą. Ale literatura o życiu i tym, co żywe, jest ściślej związana z nicością i tym, co nieżywe, z nocą i ciszą, niż sądzimy. Litery to nic innego jak martwe znaki, a książki są ich trumnami. Ani jeden dźwięk nie wydobył się z tego tekstu, gdy go czytałeś.

Perkusja

W pokoju, w którym siedzę i piszę, za moimi plecami stoi perkusja. Jest w niej coś dziecinnego, od nazw poszczególnych bębnów, które tylko dzieci mogły wymyślić – największy nazywa się „wielki”, werbel nazywa się „werbel”, są tam również dwa półkotły i jeden kocioł – do iskrzącego się chromu i oczekiwania, jakie się z nimi wiąże, by w nie uderzać, stukać i walić. Wizualnie perkusja jest spokrewniona z amerykańskimi autami z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, ze swoimi płetwami, jasnymi powierzchniami i błyszczącymi wlotami powietrza, i z ciężarówkami, ale nie tymi szarymi i anonimowymi, steranymi życiem, z brezentową plandeką i nazwą firmy wzdłuż boku, ale tymi wypasionymi, lakierowanymi sprayem, tymi cudami na czterech kołach, i może jeszcze z wyścigowymi łodziami motorowymi, ich połyskującymi kadłubami i wielkimi silnikami zaburtowymi. Każdy, kto widział perkusję Rogera Taylora z Queen, z zatrząsieniem półkotłów, talerzy i ogromnych, budzących oczekiwania gongów w tle, wie, o czym mówię. To, co perkusja ma wspólnego z amerykańskim samochodem, ciężarówką kawalera i ślizgaczem, poza wyglądem, wyjątkowo silnie przemawiającym do dzieci, to obietnica prędkości, a co za tym idzie – wolności. Ale każde dziecko, które zaczyna grać na perkusji, dość szybko przekonuje się, że ta obietnica nigdy nie zostanie spełniona, bo jeśli coś charakteryzuje grę na perkusji, to właśnie statyczność. Gra na perkusji to sztuka ograniczeń, świadome odrzucenie wszystkiego, co zbędne, i podążanie drogą oszczędności i trzeźwości. Ze wszystkich instrumentów bębny są najbardziej ascetyczne. Perkusja składająca się z wielu bębnów stwarza jedynie więcej możliwości tego samego.

Słowa te pisze biały mężczyzna w średnim wieku, z zamrożonym wnętrzem, który chodzi sztywno, odrobinę przygarbiony, i który nigdy się nie bawi, nigdy nie tańczy, nigdy nie pogrąża się w dzikiej, pozbawionej hamulców ciemności, którą za Grekami nazywamy orficką, a do której droga wiedzie przez powtarzanie rytuałów, czyli przez rytm. Rytm, bicie, uderzenie, trans. Serce, krew, ofiara.

Bębny mieszczą w sobie obie możliwości: zarówno to, co apollińskie, jak i to, co orfickie. Dotyczy to wszystkich rodzajów sztuki, wszystkich artystów i wszystkich instrumentów muzycznych, ale żaden z nich nie czyni tego w tak prosty i fundamentalny sposób jak bębny. Pierwiastek apolliński przejawia się w tym, że uderzenia dzielą czas na krótsze i dłuższe interwały i systematyzują je, to czysta matematyka, każdy rodzaj muzyki ma wiele wspólnego z matematyką. Uderzenia muszą być precyzyjne, jak w zegarku, po każdym przejściu wykonanym dla zaznaczenia pęknięcia lub zmiany trzeba zawsze wrócić w odpowiedniej chwili. Perkusiści jazzowi, którzy uczynili z bębnienia prawdziwą sztukę, postawili tę zasadę na głowie: dla nich przejścia i pęknięcia stały się samą grą, a taktowanie

czymś, do czego wracają od czasu do czasu, delikatnym napomknięciem, trochę jak pracownik przedsiębiorstwa, który piął się po szczeblach kariery i teraz, już jako dyrektor, nie musi podbijać karty, a jednak robi to z przyzwyczajenia, przez wzgląd na stare czasy. Perkusiści jazzowi to wirtuozi, nie ma takiej rzeczy, której nie potrafiliby zagrać, są jak jednoosobowa orkiestra, ale to, co tworzą, to ich przekraczanie granic, jest bardziej spokrewnione z zabawą i grą, z niezobowiązującą żonglerką wszystkimi istniejącymi możliwościami, zgodnie z nurtem apollińskim, niż z tym, co stanowi jądro w muzyce, jego ciemne serce, równie proste i prymitywne jak kreska hipnotyzująca kurę: nie uderzenie, które dzieli czas, lecz uderzenie, które go znosi. Czas to odległość, a gdy odległość zostaje zniesiona, nie jesteśmy już zanurzeni w świecie, lecz stajemy się jego częścią. Właśnie to muzyka Orfeusza uczyniła z kobietami, które w pewnego rodzaju zbiorowym transie lub upojeniu oderwały mu głowę i wrzuciły ją do rzeki, a gdy płynęła z nurtem, usta wciąż jeszcze śpiewały.

Oczy

Nigdy nie zrozumieję, jak funkcjonują oczy. Nigdy nie pojmem, jak odbicie świata zewnętrznego, ze wszystkimi przedmiotami i ruchami, może przenikać do oczu i tworzyć obrazy w ciemności mózgu. Wiem, że oczy składają się z ciała szklistego, komory przedniej i tylnej oraz szeregu błon. Wiem, że energia świetlna jest przekształcana w impulsy nerwowe, kiedy światło trafia w oko, a substancja zwana rodopsyną rozkłada się, i że te impulsy są przekazywane do ośrodków wzrokowych kory mózgowej, gdzie odradzają się jako wewnętrzne wyobrażenia. Dzięki temu procesowi, tak nieskończenie precyzyjnemu – w siatkówce jest ponad sto dwadzieścia milionów komórek wzrokowych – mogłem zobaczyć, jak moje córki grają w badmintona na trawie w ciepły, bezwietrzny lipcowy dzień, otoczone nieruchomymi zielonymi roślinami, krzewami i drzewami, pod lśniącem błękitnym niebem, obserwować trochę niezgrabne ruchy moich córek i ich skupione twarze, które od czasu do czasu rozpraszały uśmiechy lub oskarżenia. Dzięki temu procesowi mogłem również zobaczyć śnieg padający w ciemności za oknem, gdy dziś wczesnym rankiem stałem w kuchni i czekałem, aż zaparzy się kawa, ujrzeć, jak płatki śniegu, drobne i włochate, podążają za każdym, nawet najmniejszym ruchem powietrza i jeden po drugim osiadają na trawie, pod lub między źdźbłami, które teraz, kilka godzin później, gdy światło odległego słońca przyćmione powłoką chmur opromienia krajobraz, są całkowicie pokryte śniegiem. Nie pojmuję, jak to się dzieje. Mógłbym chyba zadowolić się wyjaśnieniem, że jest to czysta mechanika i materialność, czysty przepływ energii, kwestia atomów i fotonów, gdyby nie to, że oczy nie tylko pochłaniają światło, ale także je emitują. Co to za światło? Cóż, to światło płynące z wnętrza, które świeci we wszystkich oczach, znanych i nieznanach. W nieznanach oczach, na przykład w zatłoczonym po brzegi autobusie w jesienne popołudnie, światło wysyłane przez oczy jest słabe, bardziej przypomina ledwie zauważalne migotanie na pochmurnych twarzach, które zdradza właściwie tylko to, że są żywe. Jednak w chwili gdy te małe latarki życia odwracają się w twoją stronę i zaglądasz w nie, widzisz właśnie tego człowieka. Bywa, że zatrzymujesz na nim wzrok nieco dłużej, bywa, że od razu go odwracasz; w ciągu życia patrzymy w tysiące par oczu, z których większość przemyka niezauważona, aż tu nagle trafiasz na takie, w których jest coś, co ci się podoba, i dla których byłbyś gotów zrobić niemal wszystko, by przebywać w ich pobliżu. Co to takiego? W takiej chwili nie widzisz źrenic ani tęczówki, ani twardówki. Widzisz duszę, to jej archaiczne światło wypełnia oczy, i właśnie to, patrzeć w oczy osobie, którą kochasz, gdy miłość jest najsilniejsza, jest największym szczęściem.



Przypisy

[1] Lapskaus – tradycyjna potrawa norweska, rodzaj gulaszu z mięsa, najczęściej wołowego, ziemniaków, marchwi, cebuli, podawanego z pieczywem. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Autor używa sformułowania „den grå standardtelefonen” – chodzi o szwedzki telefon stacjonarny Ericsson Dialog wypuszczony na rynek w 1964 roku.

[3] W oryginale autor przytoczył wyrażenie „knapper og glansbilder”, to znaczy „[pracować za] guziki i błyszczące naklejki”.

